

# Popularnonaukowy reportaż poświęcony zmianom demograficznym Polski i Unii Europejskiej w XXI wieku



Łukasz Sakowski

[www.totylkoteoria.pl](http://www.totylkoteoria.pl)

27.12.2021 r.

## Czy Unię Europejską czeka kryzys demograficzny?

Wertowanie statystyk demograficznych stało się w ciągu minionych kilkunastu miesięcy codziennością nie tylko ekspertów doradzających politykom, dziennikarzy, czy komentatorów wydarzeń. W 2020 i 2021 roku niemal każdy zerkał raz po raz to na spadającą, to znów rosnącą liczbę zgonów. Porównywał ją z danymi dotyczącymi śmiertelności z poprzednich lat, zestawiał z całkowitą liczbą ludności swojego kraju czy tym, ile dzieci w określonym miesiącu bądź roku się urodziło.

Chociaż nawyk ten wymusiły na nas zgony związane z pandemią to skupiona tak uwaga naturalnie przeniosła się także na pozostałe zagadnienia demograficzne i populacyjne. Dzietność i rodzicielstwo, migracja, liczba ludności, struktura wieku i płci, starzenie się społeczeństwa. Pytania o to, ile osób zmarło w ciągu tygodnia, w zeszłym miesiącu czy w roku 2020 i 2021 zamieniają się w rozmyślenia nad tym, jakie zmiany ludnościowe zaszły w Europie przez ostatnie dekady. Ilu będzie Europejczyków za 50 lat i w jakim wieku będzie ten statystyczny? Co z dzietnością? Czy osiedla wypełnione bawiącymi się dziećmi przejdą do przeszłości? Czy wsie się wyludnią a miasta przepełnią? A może granice między nimi niemal się zatrą? Jak na krajobraz ludności wpłynie migracja? Jaka przyszłość demograficzna czeka Europę? I jakie konsekwencje w związku ze zmianami będzie zmuszona ponieść?

\*\*\*

## Medialna (nad)reakcja na zmianę demograficzną?

„The Economist” w 2003 roku nazwał nadchodzący spadek liczby ludności w Europie „implozją europejskiej populacji”. Autor zwrócił uwagę, że „populacja Europy kurczy się i siwieje, wraz z ponurymi tego konsekwencjami”<sup>1</sup>. Rok później hiszpański „El País” alarmował, że Hiszpania to „drugi kraj w UE pod kątem najmniejszej liczby młodych ludzi i piąty co do największej liczby osób najstarszych”<sup>2</sup>.

Komisja Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Parlamentu Europejskiego – znanego z tego, że jego przedstawiciele pozwalają sobie często na ostrzejszy, mniej oficjalny i lodowaty język, niż członkowie Komisji czy przedstawiciel Rady – ostrzegła w 2008 roku, że „Europejczycy zaczynają wymierać”<sup>3</sup>. Z rzadka czarnowidzki scenariusz tej wówczas nieszczególnie eksploatowanej medialnie tematyki rozjaśniały odrzucające katastrofę głosy, takie jak demografa Tomáša Sobotki w dziale opinii „The Guardian”, który

napisał: „Europa nie zmierza do zapaści populacji. Może nastąpić powolny spadek ludności, co powinno być mile widziane”<sup>4</sup>.

Kilka lat później, w 2015 roku, raport polskiej Najwyższej Izby Kontroli konkludował, że „sytuacja demograficzna Polski jest dramatyczna. Od dwudziestu lat systematycznie spada liczba ludności. Liczba urodzeń nie gwarantuje prostej zastępowalności pokoleń”<sup>5</sup>. Na symboliczny w demograficznym kontekście fakt, że wielu przywódców europejskich nie ma dzieci, uwagę zwracał w 2018 roku Jorge Benítez w dzienniku „El Mundo”, który wyludnianie się Hiszpanii nazwał „bombą demograficzną”<sup>6</sup>.

W roku 2019 Dorothea Siems w niemieckim „Die Welt”, studząc nadzieje, że imigracja i nieduży, ale zauważalny przed pandemią wzrost dzietności w Niemczech zażegnają kryzys demograficzny, użyła z kolei sformułowania „pułapka demograficzna”<sup>7</sup>. W ciągu następnego paru dni Alexandre Mirlicourtois we francuskim medium finansowo-ekonomicznym mówił o „europejskiej katastrofie demograficznej”<sup>8</sup> a w 2020 – już w trakcie pandemii – Gazeta Wyborcza artykuł Leszka Kostrzewskiego, nie owijając w bawełnę, zatytułowała: „Polska wymiera. Katastrofalne prognozy demograficzne”<sup>9</sup>. W połowie roku 2021 swoją analizę opublikowali naukowcy Bułgarskiej Akademii Nauk oraz Uniwersytetu Sofijskiego, z której wynika, że w ciągu zaledwie 20 lat, do roku 2040, ludność Bułgarii spadnie o ¼ – z obecnych 7 milionów do około 5 milionów<sup>10</sup>.

Czy sytuacja demograficzna Europy jest faktycznie tak zła, jak wynikałoby to z doniesień mediów? Niewystarczająca dzietność, niezaspokajająca potrzeb imigracja, wyludniająca się regiony, kurczenie i siwienie, pułapka oraz implozja demograficzna, kryzys demograficzny, wymieranie Europejczyków? To bardzo mocne tezy, twierdzenia i oceny, ale czy trafnie i poprawnie opisujące rzeczywistość?

\*\*\*

## Ludność Europy

„W roku 1960 ludność dzisiejszych państw Unii Europejskiej stanowiła około 12% światowej populacji. Udział ten obniżył się do około 6% obecnie i przewiduje się, że spadnie do 4% w roku 2070” – stwierdza sucho zeszłoroczny raport Komisji Europejskiej na temat demograficznej sytuacji UE<sup>11</sup>, uwzględniający (również wstecz) nieobecność Wielkiej Brytanii we Wspólnocie. Jego autorzy zauważają też, że około roku 2070 „30% Europejczyków będzie w wieku 65 lat lub więcej” zaś udział osób po 80-tce „podwoi się, do 13%”.

Czasopismo naukowe „The Lancet” opublikowało w 2020 roku obszerny artykuł naukowy<sup>12</sup> z szacunkami liczb ludności w różnych krajach, przewidywanych do roku 2100. Bazując na modelowaniu matematycznym i wykorzystując dane dotyczące dzietności, śmiertelności oraz migracji, autorzy ustalili, że populacja Polski do 2100 roku może spaść do 13-15 milionów, a w sąsiednich Niemczech do 60-66 milionów. Czechy wyludnią się przez ten czas do około 6 milionów, podobnie jak Austria. Rumunia zaś do mniej więcej 6-7 milionów (z dzisiejszych 19). Na Bałkanach w perspektywie roku 2100 wyraźnie przerezedzi się w Bułgarii – do dwóch milionów – oraz w Chorwacji, do jednego. Duża zmiana nadejdzie też we Włoszech i Hiszpanii (obecnie 60 i 47 milionów), dla których zaprognozowano zmniejszenie się liczby ludności do odpowiednio 27-30 milionów i 21-23 milionów. Portugalia skurczy się do 4 milionów, tak jak i Grecja. W Holandii w roku 2100 miało by mieszkać 11-13 milionów ludzi (dziś kraj ten ma 17 milionów obywateli). Poniżej progu miliona liczyć będzie Estonia, a mniej niż pół miliona cechować będzie Łotwę. Do grona nielicznych krajów, które zdaniem naukowców nie wyludnią się do roku 2100, należy Francja i Szwecja. Ogółem Unia Europejska z obecnych 448 milionów (której ludność spadła poniżej pół miliarda po opuszczeniu jej przez Wielką Brytanię) do roku 2100 roku zmniejszy się do około 300 milionów. To mniej niż dzisiejsze Stany Zjednoczone (330 milionów).

Ważnym zastrzeżeniem jest, że szacunki te mają dość spore odchylenia (podane liczby są efektem wyraźnej generalizacji), zależą od scenariuszy i mogą okazać się częściowo zaniżone lub zawyżone. Ponieważ horyzont czasu jest odległy, to gdyby znacznie wzrosła bądź spadła dzietność, migracja czy śmiertelność, nietrafność wyników mogłaby okazać się jeszcze wyraźniejsza.

Dla Unii Europejskiej jako organizacji polityczno-administracyjnej istotne będą również kolejne rozszerzenia. Nie trudno wyobrazić sobie powrót Wielkiej Brytanii do wspólnoty albo dołączenie do niej Norwegii czy nieobecnych w niej dzisiaj krajów bałkańskich. Możliwe są też ewentualne odejścia państw członkowskich, zmniejszające demograficzny potencjał UE. Jednak przy dzisiejszych trendach – a te nie zmieniają się w ciągu roku czy kilku lat – spadek ludności w perspektywie następnych ośmiu dekad wydaje się być nieunikniony. Będzie on wyraźny, ale czy katastrofalny? Niektóre państwa stracą kilkanaście procent dzisiejszej liczby ludności. Inne – jak Hiszpania, Włochy czy Polska – wyludnią się o około połowę. Dla bałkańskich i bałtyckich członków Unii Europejskiej ubytki ludności będą prawdopodobnie jeszcze większe.

By populacja była względnie stabilna, potrzebne jest spełnienie kryterium zastępowalności pokoleń. Charakteryzuje się ono współczynnikiem dzietności – liczbą dzieci przypadającą na kobietę w wieku rozrodczym (bo to kobiety rodzą dzieci i z tego też powodu demografowie stosują również współczynnik reprodukcji, uwzględniający

jedynie liczbę córek<sup>13</sup>) – w wysokości 2,15. Równa dwójka pociech w przeliczeniu na jedną kobietę to za mało, gdyż nie wszystkie dożywają wieku reprodukcyjnego, skąd wynika ta zastanawiająca końcówka po przecinku (w przeszłości, gdy śmiertelność wśród dzieci była znacznie wyższa, próg zastępowalności pokoleń również musiał być większy). Jeżeli współczynnik dzietności jest długotrwale niższy (albo przez upowszechniającą się bezdzietność funkcjonalnie zaniżony), a powstałych przez to luk nie wypełnia przyróżw migracyjny, liczba ludności spada. Nie jest źle, jeśli dzieje się to subtelnie i powoli, na przykład gdy dzietność utrzymuje się na poziomie 1,9-2. Ale kiedy jest niższa, w szczególności poniżej 1,5, wówczas zapaść demograficzna jest bardzo wyraźna i w ludnościowym sensie nagła.

W wielu krajach Unii Europejskiej dzietność utrzymuje się poniżej 2,15. Jest ona monitorowana przez organy narodowe oraz Eurostat, który w 2021 roku opublikował<sup>14</sup> zbiorcze dane z ostatnich lat dla 27 państw UE. W roku 2019 w Hiszpanii współczynnik dzietności wynosił zaledwie 1,23 a we Włoszech 1,27. Były to jedne z najniższych wyników na świecie, wyprzedzające nieliczne kraje o jeszcze słabszej dzietności, takie jak Korea Południowa (w której dzietność spadła poniżej 1!). W Grecji wskaźnik wypadł nieco lepiej – statystycznie 1,34 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym – podobnie jak w Finlandii ze wskaźnikiem 1,35. Portugalia, Polska czy Austria utrzymywały się wówczas w okolicy 1,4. Holandia, Belgia, Węgry, Słowacja, Bułgaria przekroczyły 1,5, a kraje bałtyckie 1,6. W Szwecji, Czechach i Rumunii kobieta w wieku rozrodczym rodziła średnio co najmniej 1,7 dziecka. Na szczycie państw UE uplasowała się w 2019 roku Francja ze wskaźnikiem powyżej 1,8. Ogółem dla całej UE dzietność w roku 2019 wynosiła 1,53 a w praktyce przekładało się to na niespełna 4,2 miliona nowych obywateli, z czego aż blisko 1/5 – jak zauważa Eurostat<sup>15</sup> – była trzecim lub kolejnym dzieckiem. Oznacza to, że bardzo niska dzietność w Europie jest nieco „sztucznie” podnoszona przez rodziny wielodzietne (szczególnie w Irlandii, Łotwie, Estonii, Szwecji, Finlandii, Francji, Belgii, Polsce, Chorwacji i na Węgrzech), bez których UE wykazywałaby się dzietnością poniżej 1,53. Rok 2019 był kolejnym rekordowym pod względem najniższej liczby żywych urodzeń, a fragmentaryczne jeszcze dane za rok 2020 również wskazują na dalszy trend spadkowy w krajach takich, jak Polska<sup>16</sup>.

Czy wyludniający się obraz Niemiec, Polski, Holandii, Hiszpanii, Włoch, Grecji bądź Malty i względnie bezpieczna sytuacja Francji oraz Szwecji – również z korzystnymi prognozami na rok 2100 – mogą się jakoś w ramach Unii Europejskiej równoważyć? Historycznie wyższa dzietność w regionach wiejskich<sup>17</sup> i pośrednich między miastami i wsiami wypełniała dzietnościowo-ludnościowe luki, ale dziś wsie się wyludniają. Pozostają w nich głównie starsi ludzie, którzy swój międzypokoleniowy obowiązek już wypełnili. Nie w pełni analogiczne, ale zbliżone zjawisko odbywa się na poziomie międzynarodowym. Sporo ludzi z państw biedniejszych wyjechało do krajów bogatszych, osłabiając zdolności reprodukcyjne swoich ojczyzn, ich potencjał do odtwarzania populacji i szereg związanych z tym konsekwencji.

Dzietność i liczebność Europejczyków spadająca wyraźnie, szybko i względnie nagle jest faktem. Jakie będą skutki zmniejszenia się liczby ludności i przesunięcia się demograficznej struktury wieku w Europie? Czy mniej dzieci w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców wpłynie jakoś na postawy społeczne i upowszechniane wzorce zachowań? Albo czy mniej ludzi ogółem z jednej strony, a większy udział emerytów z drugiej to problem czy szansa? Czy możliwe jest, że migracja z Azji i Afryki zasypie demograficzną przepaść, w kierunku której zmierza Europa?

Ursula von der Leyen kilka lat przed objęciem szefostwa Komisji Europejskiej, bo w roku 2013, gdy była niemiecką federalną Minister Pracy i Spraw Socjalnych, mówiła w Paryżu, że dla niej „zmiana demograficzna to nie katastrofa, lecz wspaniała okazja do doświadczania życia przez starszych ludzi”<sup>18</sup>. Czy obecna sytuacja może być zatem w ogóle nazywana „kryzysem”, „zapaścią” bądź „katastrofą”? A może bardziej trafnym byłoby mówienie – za Ursulą von der Leyen – o „zmianie demograficznej”? Szczególnie w kontekście zanieczyszczenia środowiska i wobec zmiany klimatycznej.

\*\*\*

## Przeludnienie czy wyludnienie?

Wśród głosów na temat demografii przebijają się często te mówiące o przeludnieniu i odbierające obecną sytuację w tych samych, pozytywnych barwach, w jakich Ursula von der Leyen opisywała ją w 2013 roku, lecz z odmiennych powodów. Spadająca dzietność i liczba ludności w Europie miałyby stać się okazją – według tej narracji – do odbudowy środowiska i uratowania klimatu. Zanim więc zabrałem się do zbadania skutków europejskiej zmiany demograficznej na społeczeństwo, gospodarkę, infrastrukturę czy stosunki międzynarodowe, postanowiłem najpierw przyjrzeć się kwestii samego przeludnienia.

Na początku lat 90. XX wieku Unia Zaniepokojonych Naukowców opublikowała list<sup>19</sup>, w którym przestrzegała światową opinię publiczną między innymi przed dalszym wzrostem liczby ludności na Ziemi. W roku 2017 ukazało się kolejne tego typu ostrzeżenie, ponawiające obawy o liczebność światowej populacji<sup>20</sup>. Choć tekst zawiera bardzo ogólne i nieprecyzyjne stwierdzenia na temat demografii, to podpisało go ponad 1500 naukowców z różnych części świata. Czy tak wiele wysoko wykształconych osób mogło się mylić?

W 1798 roku angielski ekonomista i anglikański duchowny, Thomas Malthus, opublikował opracowanie pt. „Prawo Ludności i jak wpływa na przyszłą poprawę społeczeństwa”<sup>21</sup>, wznawiane w pierwszej połowie XIX wieku. Zwracał w nim uwagę na wzrost ludzkiej populacji i na produkcję żywności mającą nie nadążyć za demograficznym trendem. Wskazywał również na kwestie niedostosowania praw rynkowych do coraz ludniejszego społeczeństwa. Podkreślał znaczenie czynników ograniczających rozmnażanie się ludzi czy wprost obniżających liczebność, takich jak klęski naturalne. Sama koncepcja o przeludnieniu wynikającym z zaburzonego stosunku wzrostu populacji (zbyt szybkiego) do rozwoju w rolnictwie (zbyt wolnego) określana jest maltuzjanizmem – od nazwiska Brytyjczyka.

Wielu naukowców i ekonomistów, a także filozofów oraz duchownych krytkowało podejście Malthusa. Silny sprzeciw wobec jego poglądów wyrażała też tradycyjna lewica, z Karolem Marksem i Friedrichem Engelsem na czele. Późniejsze dekady pozytywnie zweryfikowały ich przewidywania co do postępu naukowego i technologicznego w rolnictwie, unieważniającego wiele problemów artykułowanych przez Malthusa. Nie uwzględniał on bowiem w swoich bazujących na analogii do zwierząt wnioskowaniach, że istnieją ogromne różnice w zdolnościach i procesach poznawczych między człowiekiem, a innymi gatunkami, które nie potrafią reagować na zastane bądź wyłaniające się kryzysy. Jak stwierdził amerykański ekonomista Henry George w 1879 roku, sceptycznie komentując maltuzjanizm, „zarówno jastrzębie jak i ludzie jedzą kurczaki, ale im więcej jastrzębi tym mniej kurczaków, podczas gdy im więcej ludzi, tym więcej kurczaków”<sup>22</sup>. Thomas Malthus się mylił<sup>23</sup>, a jego tezy i przewidywania okazały się błędne, także z powodów dotyczących rozwoju mieszkalnictwa, higieny, medycyny, środków antykoncepcyjnych czy zmian kulturowych.

Jednak koncepcja maltuzjańska i tak zyskiwała na popularności wśród części środowiska akademickiego (nie tylko ze względu na kwestie demograficzne; przykładowo, proponowane przez Malthusa mechanizmy samoograniczania populacji wynikające z braku zasobów, inspirowały Karola Darwina i Alfreda Wallace’a przy rozmyślaniach na temat prawa doboru naturalnego). Silnie czerpały z niej również stowarzyszenia proponujące politykę kontroli urodzeń (eugenikę). W pierwszej połowie XX wieku wyłonione przez Malthusa poglądy zostały podchwyczone przez ruchy polityczne i przekształcone na potrzeby ideologii faszystowskich, a w drugiej połowie stulecia przez część aktywistów oraz ekologów zatroskanych o stan dzikiej przyrody. Być może nie jest przypadkiem, że były nazista, Konrad Lorenz, który na początku II Wojny Światowej prowadził w okupowanym Poznaniu studia rasowe, po wojnie oprócz nauki zajął się też ekoaktywizmem, a w roku 1973 (tym samym, w którym dostał Nagrodę Nobla z medycyny lub fizjologii) – już po wyparciu się poglądów nazistowskich – przekonywał, że ludzkość ma problem z przeludnieniem<sup>24</sup>. W 2015 roku Uniwersytet w Salzburgu pośmiertnie odebrał mu za faszystowską przeszłość tytuł doktora *honoris causa*<sup>25</sup>.

Maltuzjanizm wzbogacony o nowe idee przeradzał się więc w neomaltuzjanizm, wyróżniający się od pierwotnych poglądów Malthusa na przykład tym, że propagował kontrolę urodzeń lub inne metody mające na celu depopulację. Opierając się na nim publikowano rozmaite opinie, szacunki i analizy, wieszczące niedalekie wyczerpanie różnych surowców i dóbr naturalnych: ziem pod uprawę, paliw kopalnych, metali, zasobów biosfery. I pomimo iż się nie sprawdzały – stan zużycia rósł, wyeksploatowanie środowiska także, ale znacznie wolniej niż estymowano, a w przypadku niektórych materiałów wręcz na poziomie zaniedbywalnym – to intelektualiści zaniepokojeni o stan przyrody wciąż bili na alarm, a zainspirowani Malthusem pisarze *science-fiction* przedstawiali wizje przeludnionej planety. Z drugiej strony, ale jeszcze w XIX wieku, negatywny wizerunek skrajnie egoistycznego Ebenezera Scrooge'a z „Opowieści wigilijnej” został wykreowany właśnie na podstawie poglądów Thomasa Malthusa, co było także zawołaną krytyką jego postawy<sup>26</sup>.

Zwolenników neomaltuzjanizmu nie zbijały z tropu kolejne porażki prognoz, wieszczących na przykład wyczerpanie zasobów ropy w USA w latach 70. XX wieku czy śmierć miliardów ludzi w pierwszych dekadach XXI wieku z powodu globalnego ocieplenia. Wątpliwości nie zasiała także zielona rewolucja z lat 60. XX wieku, która gigantycznie przyczyniła się do zmniejszenia głodu w biednych i rozwijających się krajach, a za której umożliwienie agrobiolog Norman Borlaug otrzymał w 1970 roku Pokojową Nagrodę Nobla (rzadko się zdarza, że Pokojowy Nobel wręczany jest za odkrycia biologiczne – w tym przypadku za opracowanie nowych, bardziej wydajnych odmian roślin uprawnych). Katastroficzną wizję przeludnienia w niedalekiej przyszłości wciąż powielali tacy biolodzy, jak Paul Ralph Ehrlich czy James Lovelock. Robiły to też niektóre organizacje zrzeszające obrońców przyrody czy agencje instytucji międzynarodowych. W kontrze do nich stali matematycy. Statystyk Hans Rosling w wydanej rok po jego śmierci książce „Factfulness”<sup>27</sup> przekonywał, wykorzystując szacunki i modele matematyczne, że liczebność ludzkiej populacji będzie się w nadchodzących dekadach stabilizować, w dużej mierze za sprawą spadku dzietności w Azji i Afryce.

## Globalne ocieplenie i demograficzne oziębienie

Szukając informacji na temat przeludnienia w XXI wieku zastanawiało mnie, jak właściwie miałyby być ono definiowane. Czy istnieją jakieś wskaźniki powstałe na bazie obiektywnych danych, pomiarów? Czy nadmiar ludzi na Ziemi to kwestia przegęszczenia na jednostkę powierzchni? Dostępu do surowców (jak w koncepcjach maltuzjańskich)? I jeżeli tak, to jakich? Chodzi o wodę, zboża, szczepionki, telefony komórkowe? A może o przeludnieniu miałyby świadczyć dzietność powyżej progu zastępowalności pokoleń? Albo jakaś określona ilość CO<sub>2</sub> emitowana w przeliczeniu na rodzinę (gospodarstwo domowe) lub osobę? I czy wszystko to powinno być oceniane w skali miasta, regionu, państwa?



Dla całego świata takie uogólnienie nie ma większego sensu. W jednym miejscu przestrzeni do życia może być mnóstwo, w innym już niekoniecznie. Dostęp do podstawowych dóbr w Europie czy Ameryce dla niektórych grup społecznych występuje aż w nadmiarze, podczas gdy te biedniejsze – również o wyższej dzietności – borykają się z niedostatkiem. Oprócz tego, inną sytuacją jest brak dóbr wynikający ze złego zarządzania, a odmienną, jeżeli powodem jest po prostu niedobór surowców w naturze czy nie dająca się już zwiększyć wydajność pól albo określonych technik produkcyjnych poszczególnych produktów. Z kolei emisja dwutlenku węgla w przeliczeniu na osobę też jest zupełnie inna, zależnie od tego jaki kraj czy klasę społeczną weźmiemy pod lupę. Te wątpliwości co do tez o globalnym nadmiarze liczby ludności skupiają uwagę na podstawowym problemie: przeludnienie nie jest zjawiskiem dającym się ściśle, empirycznie określić. Zależnie od tego kto i z jakim celem mówi o liczbie ludności, może dojść do zupełnie innych twierdzeń na ten temat.

A co z dzisiejszymi, wykorzystującymi nowoczesne metody badawcze szacunkami na nadchodzące dekady? „W roku 1800 p.n.e. ludność na świecie liczyła sobie około 5 milionów osób *Homo sapiens*, czyli tyle, ile mniej więcej liczy dzisiaj Słowacja. Populacja rosła powoli przez 10 tysięcy lat, aż w końcu osiągnęła 1 miliard w 1800 roku n.e. Jednak w ciągu następnych 130 lat pojawiły się dodatkowe 2 miliardy ludzi, a przez kolejne 100 lat – 4 miliardy. Na tej podstawie instynktownie moglibyśmy wyciągnąć wniosek, że populacja zwiększa się liniowo lub wykładniczo i będzie nas wciąż więcej. Nic bardziej mylnego!” – przekonuje Marcel Kiełtyka z fact-checkingowego stowarzyszenia Demagog.org.pl, zajmującego się obalaniem fałszywych informacji. I kontynuuje: „Stwierdzenie, że światowa populacja wciąż rośnie, nie jest do końca zgodne z rzeczywistością. Prawdą jest, że liczba ludności wzrasta w szybkim tempie. W ciągu 10 lat na świecie przybędzie około 750 milionów ludzi<sup>28</sup>. Powinniśmy jednak zadać sobie w tym miejscu pytanie, czy wzrost ten będzie stały? Obecnie na świecie żyją około 2 miliardy dzieci w wieku 0-15 lat. Według danych Organizacji Narodów Zjednoczonych w 2100 będzie ich również 2 miliardy, czyli tyle, co dzisiaj – proces zatrzymywania wzrostu dzietności i idącej za nim liczby dzieci już trwa. Oznacza to, że liczba ludzi na świecie najprawdopodobniej nie będzie stale przyrastać. Fakty są więc takie, że wzrost naszej populacji zaczął wyhamowywać. Eksperci twierdzą, że przez następne dziesięciolecia będzie nadal zwalniał. ONZ w 2019 roku przewidywała, że do roku 2100 populacja na świecie zwiększy się o kolejne 4 miliardy ludzi, ponieważ wzrośnie liczba osób dorosłych w wieku 15-74 lat. Innymi słowy, osiągniemy liczbę od 10 do 12 miliardów ludzi do końca 2100 roku”. Tymczasem jeszcze nowsze badania – w tym te cytowane wcześniej, opublikowane w „The Lancecie” w 2020 roku – prognozują, że w 2100 roku ludzi na świecie może być nawet poniżej 9 miliardów, w czym większy niż dziś procentowy udział będą mieli coraz dłużej żyjący dorośli, a nie rodzące się coraz rzadziej dzieci.

Choć nikt nie jest w stanie zobaczyć przyszłości, to przy oparciu się na najlepszych dostępnych danych można zauważyć, że przeludnienie przewidywane na XXI wiek jest kolejną przestreloną, mało prawdopodobną wizją, mającą niewiele wspólnego z rzeczywistością. Nie tylko w odniesieniu do samej ludności, ale również obfitości zasobów, która rośnie szybciej<sup>29</sup>, niż liczba ludzi na Ziemi lub których wykorzystanie jest coraz bardziej wydajne. Jeśli do tego jeszcze odejdziemy od obrazka globalnego i znowu przyjrzymy się uważnie europejskiemu, z drastycznie niską dzietnością, zaburzeniami w demograficznej strukturze wieku, spadającą liczbą ludności i wiążącymi się z tym komplikacjami, możemy dojść do zupełnie odwrotnego wniosku: w państwach Unii Europejskiej mamy do czynienia z wyludnieniem.

W liście Unii Zaniepokojonych Naukowców oraz w podobnych wezwaniach o alarmistycznym tonie – które, co warto podkreślić, nie stanowią źródła konsensusu naukowego, są działaniem aktywistyczno-politycznym – wyraźne jest nie tylko bazowanie na merytorycznie niepoprawnych koncepcjach dotyczących przeludnienia (co wymaga podkreślenia, bo treść listu odnosi się także do innych, tym razem realnych niebezpieczeństw, takich jak globalne ocieplenie czy utrata bioróżnorodności bądź zmiany w jej strukturze). Odzwierciedlają się w nim także konflikty interesów. Niektóre rzucają się na pierwszy plan – organizacja ta ma w końcu powiązania polityczne i gospodarcze – ale są też inne, znacznie bardziej fundamentalnej natury. Czytając o kolejnych faktach i rozbierając, warstwa po warstwie, mit przeludnienia, zacząłem sobie uświadamiać, że akademicka elita perorująca o przeludnieniu, a należąca do bogatszej i bardziej konsumpcjonistycznej warstwy społecznej, zrzuca winę za degradację środowiska na rodziny i regiony biedniejsze, o wyższej dzietności, ale w przeliczeniu na osobę żyjące znacznie bardziej ekologicznie i ascetycznie i często nie mające tak wielu opcji życia do wyboru, jakie przed moralizującymi osobistościami ze świata mediów, nauki, polityki i aktywizmu stoją otworem.

Przekazywane w mediach treści, świadczące o tym – zgodnie z prawdą, ale wyłącznie w indywidualistycznym ujęciu – że posiadanie dziecka jest najbardziej szkodliwe dla klimatu<sup>30</sup>, oddalają od spojrzenia na problem z szerszej, interdyscyplinarnej perspektywy. „Dominująca ideologia ekologiczna traktuje nas jako *a priori* winnych, zadłużonych u matki natury (...) Łatwo dostrzec ideologiczną stawkę tej indywidualizacji: jestem tak zaaferowany sprawdzaniem samego siebie, że nie zadaję sobie o wiele ważniejszych pytań globalnych, które dotyczą całej naszej cywilizacji przemysłowej” – zauważył filozof Slavoj Žižek<sup>31</sup>, odnosząc się do indywidualizowania odpowiedzialności za środowisko. Zawstydzanie ludzi tym, że chcą mieć i mają dzieci to indywidualistyczny szantaż. Wygodny i nie mający nic wspólnego z postawą proekologiczną. Istnieją dziennikarze próbujący wydobywać na wierzch taki punkt widzenia. Publicysta George Monbiot krytykując w „The Guardianie” Jamesa Lovelocka (neomaltuzjańskiego biologa, od lat grzmiącego o przeludnieniu) podkreślał, że „wzrost populacji to nie problem – występuje wśród tych, którzy konsumują najmniej”<sup>32</sup>.

## Klimat, niż demograficzny i dezinformacja

O dezinformacyjno-psychologicznym kontekście działań antynatalistycznych w odniesieniu do kryzysu klimatycznego mówi mi też ekspert od spraw bezpieczeństwa informacyjnego, Maksym Sijer z Uniwersytetu Warszawskiego. „To proces radykalizacji w połączeniu z błędami poznawczymi” – zaczyna. „Z klimatem jest źle, a po ostatnim raporcie Międzynarodowego Panelu ds. Zmian Klimatu (ang. *International Panel on Climate Change*) wiemy, że nawet bardzo źle i że odpowiada za to głównie ludzka działalność. Rządy poszczególnych państw długo oddalały problem albo wręcz mu zaprzeczały, a kiedy wreszcie przestają, to i tak istnieje duża rozbieżność między postulatami klimatologów i ekoaktywistów, a deklaracjami politycznymi rządów. Dodatkowo, wbrew nauce i zdrowemu rozsądkowi, a w imię biznesu oraz polityki, zamykane są prawie bezemisyjne elektrownie jądrowe, wycinane są lasy. Ta rozbieżność, nierozładowane emocje oraz dysonans poznawczy powodują frustrację i bezsilność, mogąc prowadzić do radykalizacji. Państwa nie chcą radykalnych decyzji, w związku z czym osoby silnie zaangażowane w ten temat, niekiedy wręcz fanatycznie, nie dostrzegając innej alternatywy, same poprzez wzięcie sprawy w swoje ręce, decydują się na radykalne rozwiązania, takie jak rezygnacja z posiadania dzieci na rzecz klimatu” – wyjaśnia specjalista i kontynuuje: „Następnie, nie widząc szans na wpłynięcie na polityków czy koncerny energetyczne, próbują oddziaływać na jednostki, przekazując dalej swoje radykalne rozwiązania, dające poczucie sprawczości, bo na decyzję o posiadaniu dzieci i na zniechęcanie do niej innych mamy bezpośredni wpływ. W przeciwieństwie do kwestii polityki rządów i korporacji międzynarodowych”.

To jednak nie koniec mechanizmu: „Do tego dochodzą do nas coraz bardziej ekstremalne obrazki i relacje o anomaliiach pogodowych, częstszych i wydłużających się przez globalne ocieplenie. Mnogość takich informacji, rezonujących zwłaszcza wśród środowisk zaangażowanych w temat ochrony klimatu, powoduje stres informacyjny i pogłębia poczucie bezsilności i dezorientacji, a w konsekwencji także niepokoju i strachu, skąd prosta droga do dalszej radykalizacji”. Maksym Sijer zauważa też, że „takim mechanizmom ulegają oczywiście także niektórzy celebryci, również pochodzący ze środowiska naukowego, wzmacniając później szkodliwy przekaz, który nie ma nic wspólnego z ochroną klimatu, ale daje poczucie misji i sprawczości”.

Ekspert uważa, że z czasem, kiedy skutki zmiany klimatycznej będą coraz dotkliwsze a frustracja oraz bezsilność większe, takie poglądy i postulaty będą prawdopodobnie ewoluować do jeszcze bardziej ekstremistycznych form. Na koniec podkreśla: „Ale najważniejsza w tym wszystkim jest utrata poczucia bezpieczeństwa i radykalizacja zawężająca percepcję i ogłęd na złożoność świata. Stąd zwolennicy takich rozwiązań, zafiksowani wyłącznie na temacie klimatu i ograniczaniu emisji CO<sub>2</sub> poprzez antynatalizm, nie będą patrzeć na inne sprawy, takie jak problemy demograficzne i ich skutki”.

Ostatecznie – myślę sobie – nawet gdyby depopulacja była jakimś rozwiązaniem kwestii globalnego, to od razu przychodzi mi do głowy przysłowiowe porównanie, że wywoływanie czy pogłębianie kryzysu demograficznego oraz nie łagodzenie go dla walki o środowisko jest jak leczenie dżumy cholera. Dlaczego cholera, a nie wirusem lekkiego przeziębienia?

\*\*\*

## Zmiana demograficzna to tylko kwestia emerytur?

Kiedy rodzi się coraz mniej dzieci, proporcja osób młodszych do starszych ulega zmianie. Przesuwa się ona jeszcze bardziej, jeżeli urodzeni wcześniej żyją coraz dłużej. Dochodzi do zaburzenia demograficznej struktury wieku. Jest to zagrożenie przytaczane najczęściej w kontekście zmian ludnościowych w Europie, ale nie jedyne.

Spadająca liczba osób w wieku produkcyjnym oraz rosnąca w wieku poprodukcyjnym – i sumarycznie i proporcjonalnie – sprawia, że ta pierwsza grupa jest coraz bardziej obciążona utrzymywaniem starszych pokoleń. W czym tkwi sedno, można łatwo zobrazować na przykładzie porównującym dwie rodziny: w pierwszej mamy jedno dziecko, które samo musi utrzymać dwoje starzejących się rodziców, podczas gdy w drugiej, z trójką dzieci, odpowiedzialność jest podzielona, a współczynnik obciążenia demograficznego mniejszy. Nietrudno wyobrazić sobie kolejne kombinacje. Na przykład z jednej strony sytuację, w której na dwie pary emerytów przypada wyłącznie jedna osoba pracująca (czyli jedno małżeństwo jest bezdzietne) a z innej, gdy w jednej rodzinie urodziła się trójka dzieci, w drugiej czwórka, co daje siedem osób dorosłych odpowiedzialnych za czworo seniorów. W Unii Europejskiej zmierzamy w kierunku pierwszego i przedostatniego przykładu. Jest to rzecz jasna spore uproszczenie. Unaocznia jednak realne zagrożenie znacznie wyraźniej niż żonglowanie różnymi współczynnikami.

W realnym świecie nie rozchodzi się wyłącznie o pieniądze przekazywane emerytom bezpośrednio. To również kwestia budżetu potrzebnego do organizowania sprawnej opieki zdrowotnej. „Starzejące się społeczeństwo wymaga lawinowego zwiększenia nakładów na opiekę zdrowotną, wpływa niekorzystnie na funkcjonowanie opieki socjalnej oraz stwarza ryzyko dla stabilności systemu emerytalnego” – stwierdzono w sprawozdaniu Parlamentu Europejskiego z 2008 roku<sup>3</sup>. Co więcej, spowijające Europę widmo braków nie dotyczy tylko kryzysu podatkowego i funduszy na systemy ochrony zdrowia, ubezpieczeń czy pracę socjalną i inne usługi oraz na infrastrukturę, lecz

również ludzi. Podczas gdy liczba młodych i sprawnych osób będzie maleć, zapotrzebowanie na pracowników do zawodów medycznych, opiekuńczych, obsługowych i częściowo produkcyjnych, związanych z różnymi ośrodkami rekreacyjnymi, rehabilitacyjnymi, opiekuńczymi czy kulturowymi będzie rosnąć. Część ich pracy mogą zastąpić w przyszłości algorytmy sztucznej inteligencji – na przykład przy pomocy w diagnozowaniu chorób na podstawie wyników obrazowania ciała – ale nie wypełnią całych stanowisk. A mowa tu wyłącznie o paru podsektorach. Ludzi, fizycznie, potrzeba będzie też do wielu innych prac wszelkich branż.

„Regiony o szybko zmniejszającej się liczbie ludności borykają się z poważnymi lukami w świadczeniu usług socjalnych (opieki zdrowotnej, kulturalnej), fizycznych (transportu) i łączności z technologiami informacyjno-komunikacyjnymi, edukacji i w możliwościach zatrudnienia” – zauważa bardziej szczegółowo Parlament Europejski, tym razem już w roku 2021<sup>33</sup>. Problem ten nasila się obecnie w mniejszych miejscowościach, wyludniających się od paru dekad na Południu Włoch, w wielu regionach Hiszpanii (np. w Galicji), Polski czy we wschodnich landach w Niemczech. Brakuje w nich przychodni lekarskich i rehabilitacyjnych, ośrodków kulturowych, a coraz częściej nawet zwykłych sklepów z żywnością i innymi produktami pierwszej potrzeby. Na domiar złego zaniedbanie komunikacji publicznej jeszcze bardziej utrudnia realizację choćby najzwyklejszego zrobienia zakupów.

Kryzys demograficzno-dietnościowy w praktyce będzie musiał się też przełożyć na wydłużenie okresu pracy, zanim przejdzie się na emeryturę. O ile są zawody, w których kilka lat dłużej nie robi człowiekowi aż tak dużej różnicy (a warto odnotować, że zapotrzebowanie na taką pracę w następnych kilku dekadach zmaleje, bo o ile algorytmy sztucznej inteligencji nie zastąpią podstawowych zawodów, w tym znacznej części prac fizycznych, to biurowe prawdopodobnie w jakimś stopniu owszem<sup>34</sup>), to w wielu już obecny wiek emerytalny (oscylujący w Europie około 60-65 roku życia, często zależnie też od płci) jest wobec biologicznych możliwości człowieka zbyt odległy. Ponadto, podwyższanie wieku emerytalnego budzi sprzeciw społeczny praktycznie wszędzie. Prowadzi do destabilizacji politycznej i wzrostu popularności populistycznych partii. „Niemożność [demograficznego] zastąpienia naszej populacji odbije się znacznie silniej na przyszłym pokoleniu niż dojście do władzy radykalnych czy populistycznych sił” – ocenił doświadczony reporter i dziennikarz<sup>37</sup>.

Trend ten może wzrosnąć także na kolejnej związanej z kryzysem demograficznym pożywce: konflikcie między starzejącym się pokoleniem wyborców, domagających się zwiększonych nakładów na służbę zdrowia, opiekę socjalną i inne pomocowe sektory, a coraz mniej licznymi młodymi ludźmi, za to naturalnie skłonny do buntu, niechętnie przystającym na finansowanie tego wszystkiego z rosnącej części wypracowanych

przez nich przychodów. Nie wiadomo też, jak ten pokoleniowy konflikt potoczy się, kiedy – w przeciwieństwie do dzisiejszej sytuacji – emerytami za kilka dekad będą masy bezdzietnych, którzy nie doświadczyli wychowywania dzieci, a więc i zajmowania się wnukami. Będą oni zapewne znacznie gorzej rozumieć problemy przyszłych młodych ludzi, pogłębiając przepaść i antagonizację. Z drugiej strony nie mając dzieci i wnuków, trudniej będzie im pojąć technologie przyszłości, z których młodszy zwykle częściej i chętniej korzystają, a potem objaśniają rodzicom i dziadkom. Brak łącznika pokoleniowego przez powszechniejącą bezdzietność będzie więc następnym punktem zapalnym do wybuchu społecznych niepokojów.

Pogłębiająca się zapaść demograficzna rysuje zatem wyborny przepis na radykalne nastroje społeczne, wzrost populizmu (także antymigracyjnego, do którego powrócę w dalszej części tekstu) i kryzys demokracji, z całym szeregiem konsekwencji z nim związanych, włącznie z mniejszym zaangażowaniem polityków i opinii publicznej w tematykę ochrony przyrody i środowiska, praw człowieka czy prywatności w świecie wirtualnym. Oto dlaczego demografia powinna martwić także działaczy na rzecz praw człowieka i ekoaktywistów.

Podejście uznające drastyczny, szybki i nagły spadek liczebności i zaburzenie struktury wiekowej za dobry znak dla planety i ludzkości jest nie tylko naiwne i niepodparte faktami (brak dowodów na słuszność idei neomaltuzjańskich), ale także wynika z braku zrozumienia, jak głęboko i wielowymiarowo demografia oddziałuje na wszelkie elementy funkcjonowania społeczeństwa i jego interakcje z innymi społeczeństwami. A to nadal nie wszystko.

## Demografia w gospodarce i sprawach międzynarodowych

Kryzys demograficzny jako cholera – a nie lekkie przeziębienie – określić można także w odniesieniu do gospodarki. „Kraje, które obecnie tworzą Unię Europejską, od wieków należą do jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych regionów świata. To się zmieni, ponieważ kraje afrykańskie i azjatyckie będą stanowić coraz większy kawałek globalnego tortu gospodarczego dzięki gwałtownemu wzrostowi populacji, w porównaniu z kurczącą się demografią kontynentu [europejskiego]” – napisał Arnau Busquets Guàrdia w 2019 roku w „Politico Europe”<sup>35</sup>.

Na dokładnie ten sam problem wskazała Komisja Europejska: „Zmiany demograficzne mogą również wpłynąć na pozycję Europy na świecie. Udział Europejczyków w światowej populacji i PKB będzie stosunkowo mniejszy. Sprawi to, że Europa będzie musiała stać się bardziej zintegrowana, silniejsza i będzie musiała zadbać o swoją strategiczną pozycję na arenie międzynarodowej”<sup>36</sup>. Bartosz Zadura z przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce powiedział mi, że „ludność i siła gospodarcza to czynniki o ogromnym znaczeniu w kształtowaniu się układu sił. W miarę jak narody Europy stają się coraz mniejsze i słabsze pod względem ekonomicznym, w

porównaniu z tak zwanymi wschodzącymi gospodarkami, tym ważniejsza staje się potrzeba wykorzystania przez Unię Europejską swojego zbiorowego potencjału”.

O świadomości problemu wśród brukselskich polityków świadczy też zapisane w raporcie Komisji Europejskiej zdanie o geopolityce: „Zmiana demograficzna ma także wpływ na geopolityczną perspektywę Europy i pozycję na świecie. Populacja i wielkość gospodarcza odgrywają ważną rolę w światowych strukturach władzy”<sup>11</sup>. Im mniejsza liczba ludności, tym słabsza siła negocjacyjna w rozmaitych sprawach międzynarodowych: gospodarczych, dyplomatycznych, w strukturach organizacji światowych.

Jednocześnie „nie można wprost przełożyć czynnika demograficznego na relacje międzynarodowe” – wyjaśnia mi Agnieszka Bryc, specjalistka od bezpieczeństwa międzynarodowego z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. „Oczywiście kraje o najliczniejszej populacji często podkreślają ten fakt, starając się wyeksponować swoją wyjątkowość. Tak jak Rosja, która chcąc zaznaczyć swój status międzynarodowy, standardowo odwołuje się do faktu, że jest największym terytorialnie państwem świata. Z tym, że jest to dla niej znacznie większą komplikacją aniżeli atutem. Analogicznie rzecz może się mieć z wielkością populacji” – dodaje ekspertka i kontynuuje, że „doskonałym przykładem jest tu Izrael. Należy do państw małych i liczy sobie niewiele ponad 9 milionów, a służy jako przykład jednego z najbardziej innowacyjnych państw świata. Nieprzypadkowo też zyskał miano państwa start-upów”. Trzeba więc pamiętać, że liczy się nie tylko liczba ludności, ale też jej struktura etniczna, religijna, polityczna czy ekonomiczna i klasowa.

„Zmiany w strukturze demograficznej (...) mogą spowolnić postęp intelektualny i technologiczny” – zauważono ponadto w sprawozdaniu Parlamentu Europejskiego<sup>3</sup>. Notatkę zapisano w roku 2008, pytanie, czy dzisiaj zamiast słowa „spowolnić” nie użyto by „zahamować” lub nawet „cofnąć”? Spadek liczby narodzin oznacza bowiem statystycznie mniej nowych talentów naukowych, technologicznych, artystycznych, politycznych, sportowych. Tymczasem te obecne starzeją się i odchodzą. Mniej wybitnych osobowości w różnych dziedzinach życia publicznego może się przekładać na ogólny regres intelektualny. Jest to jeszcze jeden istotny aspekt problemu demograficznego Europy.

Dla krajów europejskich demograficzna zapaść oznacza, że aby nie utracić dotychczasowego wpływu międzynarodowego lub by jego spadek nie był aż tak dotkliwy, potrzebna jest populacyjna konsolidacja Europy. Bo ile wobec rosnących w siłę miliardowych Chin, Indii, a poza tym Nigerii bądź Indonezji, znaczyć będą kilkudziesięciomilionowe Niemcy, Polska, Włochy czy Francja? Bonusy państw

europiejskich związane z historycznym wyprzedzeniem reszty świata w minionych wiekach co do kultury, nauki i technologii, przy nadchodzących zmianach będą miały coraz mniejsze znaczenie. W tym kontekście kryzys demograficzny miałby stanowić bodziec do integracji europejskiej. Do traktowania Unii Europejskiej ludnościowo jako jednego, zjednoczonego państwa federalnego.

## Dzieci, solidarność i altruizm

Jeśli nie przekonują kogoś negatywne skutki kryzysu ludnościowego w ochronie zdrowia i opiece społecznej, gospodarce, polityce krajowej, w negocjacjach międzynarodowych i dyplomacji lub – z naiwnością czy bez – wierzy, że wszystkie te problemy rozwiążą algorytmy sztucznej inteligencji (które w rzeczywistości stanowią wątek bardzo zniuansowany i mogą wręcz pogorszyć sytuację w niektórych sektorach rynku pracy<sup>34</sup>, nawet pomimo niewątpliwych korzyści, jakie niesie specjalne opodatkowanie pracy maszyn i algorytmów, które zastępują pracę ludzi) to musi zmierzyć się jeszcze co najmniej z jedną kwestią: społeczną.

„W Japonii, która doświadcza niespotykanego wcześniej kryzysu demograficznego, starsza kobieta powiedziała mi, jak tęskni za głosami bawiących się w opuszczonej szkole dzieci” – napisał Nadav Eyal w „Rewolcie”<sup>37</sup>. Uwydatniona w ten sposób intuicja prowadzi do pytania o to, jak mniejsza liczba dzieci obecnych w społeczeństwie wpływa na postawy, zachowania, wzorce, a nawet zdrowie psychiczne.

Jeśli na hipotetyczny tysiąc osób dorosłych przypada więcej nieletnich, to czy sprawia to, że ci dorośli są bardziej altruistyczni, odpowiedzialni, opiekuńczy? Czy tego rodzaju cechy rozwijają się też lepiej wśród nastolatków mających wokół siebie dzieci? Pytając wprost: czy mniej dzieci w szkołach, na ulicach, na placach zabaw, w parkach, na osiedlach domkowych i blokowiskach nie przełoży się na wzmocnienie zachowań egoistycznych i narcystycznych w społeczeństwie o tak skrajnie niskiej dzietności, jak europejska? Wśród dyskusji o kryzysie demograficznym wątek ten wybrzmiewa rzadko i słabo, a może być nie mniej istotny od kwestii emerytur, służby zdrowia, opieki socjalnej czy infrastruktury.

„Czasem sobie myślę, czy to nie dzieci są naszym sumieniem” – zastanawia się narrator w „Traktacie o łuskaniu fasoli”<sup>38</sup>. Czy ma rację? „Czy większa liczba dzieci w społeczeństwie, na przykład gdy na 30 osób przypada nie 3, ale 8 dzieci, sprawia, że pewne cechy się w nim upowszechniają a inne zanikają? Przykładowo, jeśli mamy osiedle, gdzie jest więcej dzieci i drugie, gdzie jest ich mniej, to czy na tym pierwszym również osoby bezdzietne, emeryci albo nastolatki i młodzież, mając w otoczeniu więcej



nioletnich, będą bardziej altruistyczni? Czy nie wyczulą się na to, że nawet jeżeli te dzieci to nie rodzina, to należy pomóc, zaopiekować się, być ostrożnym?” – zapytałem Martę Kowal, psycholożkę społeczną pracującą na Uniwersytecie Wrocławskim. „Masz świetną intuicję. Są badania naukowe, które pokazują, że ludzie mniej przeklinają, mniej palą, mniej piją, gdy jest więcej dzieci w rodzinie. I jest jeszcze jedna perełka, bardzo świeże badanie, dokładnie na ten temat” – odpowiada badaczka, odsyłając mnie do pracy naukowej „Obecność dzieci uwydatnia wartości prospołeczne u dorosłych”<sup>39</sup>, opublikowanej w 2021 roku. Można z niej wyczytać, że „dzieci mogą odgrywać szerszą i bardziej znaczącą rolę, w której ich obecność jako takich (tj. nie tylko własnych dzieci lub dzieci będących w potrzebie, ale jakichkolwiek dzieci) generuje wyższą motywację prospołeczną w stosunku do innych, ogółem”. W dalszej części artykułu autorzy opisali przeprowadzone eksperymenty, które dowiodły, że obecność dzieci wywołuje prospołeczne motywacje i zachowania u dorosłych, nawet jeśli nie są oni rodzicami. Efekt ten występował niezależnie od płci czy wieku.

Z kolei psychoterapeutka i psycholożka, Marta Kochan-Wójcik, zauważa że „rodzicielstwo konfrontuje rodziców z koniecznością wzięcia odpowiedzialności za dziecko, które wymaga pełnego zaopiekowania się nim na poziomie fizycznym, emocjonalnym i społecznym. Jeśli ludzie wychodzą temu zadaniu naprzeciw to rozwijają kompetencje odpowiedzialności w sobie. Ale jeśli nie umieją tego zrobić lub nie chcą albo utykają w swoich wewnętrznych obronach, strategiach powstrzymywania zmian, wtedy reagują raczej obronnie – w emocjach, złością, lękiem – co w dłuższej perspektywie może prowadzić do zaburzeń nastroju i objawiać się markotnością”.

W Polsce mówi się, że mądry Polak po szkodzie. Jednak, skoro wiemy już teraz, że mniej dzieci może przekładać się na osłabienie bądź zanikanie cech tak dzisiaj wywyższanych, jak altruizm, solidarność, opiekuńczość czy odpowiedzialność, to czy nie warto byłoby reagować przed szkodą, zanim rzecz rozrośnie się do naprawdę problematycznych rozmiarów? Rodzina to najbliższe środowisko, oparcie, zapewnienie poczucia, że jest się chcianym. Pozwala na zaspokojenie podstawowych potrzeb psychologicznych oraz neurosocjologicznych, bez spełnienia których nie możemy być w pełni zdrowymi ludźmi. Mniej rodzin, mniejsze rodziny i, w tym kontekście przede wszystkim, mniej dzieci może systemowo wzmacniać problemy polityczne, skłaniać ludzi w stronę radykalizmu, nasilać kryzysy społeczne.

\*\*\*

## Dzieci w Europie i luka dzietnościowa

Prowadzone przez socjologów badania pokazują od dawna, że większość Europejczyków chciałaby mieć dwójkę lub więcej dzieci. Jednocześnie jednak wielu z nich nie ma ani jednego lub na pierwszym poprzestaje. Istnieje zatem przepaść pomiędzy tym, o czym marzą młodzi ludzie na kontynencie a tym, jak jest w rzeczywistości. Zjawisko to nazwane zostało luką dzietnościową lub płodnościową (ang. *fertility gap*) i zajmuje badaczy z różnych krajów Europy.

W roku 2008 europosłanka Françoise Castex, zajmująca się demograficzną problematyką Unii Europejskiej, zwróciła uwagę, że „w sondażach pary deklarują, iż chciałyby mieć więcej dzieci, niż mają obecnie”<sup>3</sup>. Bazowała na badaniach, aktualizowanych później przez Eurobarometr. Dekadę temu przeciętna obywatelka UE w wieku porożrodczym (która mogła już po fakcie, z perspektywy, odnieść się do sytuacji idealnej i rzeczywistej) chciała mieć, uśredniając, ponad 2 dzieci. W Finlandii, Belgii, Francji i Polsce liczba ta zbliżała się do 2,5. 57% badanych Europejsek stwierdziło, że posiadanie dwójki dzieci byłoby dla nich w sam raz, a 30% Europejsek za ideał miało wizję z trójką potomstwa. Jednocześnie faktyczna liczba urodzonych dzieci była w każdym kraju mniejsza<sup>40</sup>.

Nowsze badanie naukowe, opublikowane w 2019 roku, w którym sprawdzano deklaracje kobiet gdy miały 20-24 lata (w latach 90.) i porównywano je potem z deklaracjami w równoważnych grupach kobiet w wieku 40-42, także wskazały istotne luki dzietnościowe w wielu krajach europejskich<sup>41</sup>, zwłaszcza w Hiszpanii, Grecji, Włoszech, Portugalii, Słowenii i w krajach bałtyckich: na Łotwie i w Estonii. W Polsce badanie CBOS z 2019 roku wykazało, że 47% respondentów chciałoby mieć dwójkę dzieci, 28% trójkę, a 11% czworo lub więcej<sup>42</sup>. Na dużą lukę dzietnościową pomiędzy idealną liczbą dzieci a rzeczywiście spłodzoną, występującą w wielu krajach europejskich, wskazuje znacznie więcej badań<sup>43</sup>.

Luka dzietnościowa ciążąca na ludności europejskiej oznacza niespełnione aspiracje życiowe milionów osób, niewykorzystany potencjał ogromnej części społeczeństwa i łamanie podstawowego prawa do rozmnażania się. Z czego wynikają tak znaczące różnice między oczekiwaną a rzeczywistą liczbą dzieci? Dlaczego Europejczycy nie mają tyle potomstwa, ile chcieliby mieć i ile potrzeba, aby kontynent się nie wyludniał? Co doprowadziło do kryzysu demograficznego w Europie? Jakie są jego przyczyny?

## Pożądana zmiana demograficzna

W ciągu mniej więcej stulecia w wielu krajach europejskich współczynnik dzietności spadł z kilku dzieci na kobietę w wieku rozrodczym do opisanych już wcześniej, niepokojąco niskich liczb. Tak naprawdę po części jest to „naturalny” efekt paru poważnych zmian, jakie zaszły w społeczeństwach Europy (i które obecnie zachodzą w wielu innych miejscach na świecie, co stanowi przyczynę wspomnianego wcześniej, drastycznego spadku dzietności w Afryce i Azji).

Pierwsza ich część miała charakter głównie naukowo-technologiczny. Dzięki nawozom, środkom ochrony roślin, maszynom rolniczym czy wprowadzaniu nowych odmian uprawnych znacząco ograniczono niedożywienie, które wcześniej osłabiało kondycję organizmu i zwiększało podatność na problemy ze zdrowiem. Wprowadzono masowe programy szczepień, chroniące przed chorobami zakaźnymi. Upowszechniono sanitarne środki higieny, poprawiła się też jakość warunków mieszkaniowych, co jeszcze bardziej obniżało ryzyko ze strony patogenów. Do tego wszystkiego pozbyto się z Europy malarii<sup>44</sup>. Paleta leków przeciwko różnorodnym chorobom – w tym antybiotyków – była natomiast coraz bogatsza.

Wszystko to zmniejszało śmiertelność wśród dzieci. Dość powiedzieć, że jeszcze w drugiej połowie XVIII i w XIX wieku w krajach Europy umierało około 200-400 dzieci na 1000<sup>45</sup>. Podobne dane pochodzą z szacunków, wskazujących na śmiertelność 30-60% dzieci przed 5 rokiem życia do XIX wieku<sup>46</sup>. Statystyki te poprawiały się na kontynencie wyraźnie pod koniec XIX wieku i później (właśnie z wcześniej wskazanych powodów), spadając do obecnego niecałego procenta. Doprowadziło to do zmiany w patrzeniu na rodzicielstwo i staraniu się o mniejszą liczbę potomków, gdyż ich przeżywalność była znacznie wyższa. Gdyby Jan Kochanowski żył w drugiej połowie XX wieku lub później, nie napisałby swoich trenów, bo jego córka Urszula najprawdopodobniej nie tylko nie zmarłaby w dzieciństwie, ale dożyłaby starości.

Druga część zasadniczych zmian, jakie odbyły się w Europie, choć nie bez udziału nauki i medycyny, miała w dużej mierze charakter społeczny. Upowszechnienie hormonalnych tabletek antykoncepcyjnych oraz równouprawnienie kobiet i mężczyzn w większości dziedzin życia pozwoliło jeszcze bardziej kontrolować liczbę spłodzonych i urodzonych dzieci.

Gruntowne przemiany społeczne przyniosły wiele korzyści i dopóki wskaźnik dzietności spadał, ale nie poniżej 2,15, wszystko było z grubsza w porządku. Nie można było mówić o kryzysie demograficznym. Jednakże coś zaczęło się sypać. Pod koniec XX wieku płodność wciąż obniżała się. W XXI wieku również, pomijając drobne wahnięcia do góry w niektórych latach, w części państw europejskich. Aż sięgnęła

dzisiejszego poziomu: średnio 1,53 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym w Unii Europejskiej. Co sprawia, niezależnie od historycznych już, wspomnianych zmian w rolnictwie, medycynie, higienie i obyczajowości społecznej, że dzietność spadła tak drastycznie? Tym bardziej, że przecież, jak pokazują badania i sondaże, większość Europejsek chciałaby mieć dwójkę lub więcej dzieci.

\*\*\*

## Kryzys demograficzny i jak do niego doszło

Szukając przyczyn spadku dzietności do niebezpiecznie niskiego poziomu, wychodzących poza te związane ze zmniejszeniem śmiertelności wśród dzieci oraz powszechnym dostępem do antykoncepcji, znalazłem kilka fundamentalnych wyjaśnień. Pierwszym – najbardziej namacalnym, ale nie głównym – jest po prostu mniejsza liczba kobiet w wieku rozrodczym. Jak w „Tygodniku Powszechnym” zauważył Przemysław Wilczyński „w Polsce nie ma komu rodzić”<sup>47</sup>. Co to oznacza? „W ciągu ledwie kilku lat (od 2013 r.) ubyło więcej niż pół miliona kobiet z przedziału wiekowego 20-34 lata. A w ciągu lat kolejnych ubywać będą następne setki tysięcy” – wyjaśnił dziennikarz. I dodał: „Spójrzmy na tylko jeden z jaskrawych wycinków tego zjawiska: podczas gdy w 2013 r. żyło nad Wisłą niemal 1,5 miliona kobiet w wieku 25-29 lat, w okolicach 2030 r. może ich być około 900 tysięcy”.

Stwierdzenie, że nie ma komu rodzić, choć nieco wyolbrzymione, słusznie oddaje część dzisiejszego problemu z rozrodczością. Zdaje sobie z tego sprawę również polskie Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej. Jego wiceminister, Barbara Socha, mówiła w 2020 roku w radiu Wnet, że „żaden program nie spowoduje, że 10 kobiet urodzi więcej dzieci niż 100 kobiet. To nie jest kwestia porażki programu [500+], to jest kwestia, do jakiego momentu doszliśmy w strukturze demograficznej Polski”<sup>48</sup>. Rzecz tkwi więc przynajmniej po części w tym, że jest za mało kobiet w wieku rozrodczym. By było ich więcej, konieczne jest zwiększenie dzietności (i migracji – to wątek, który celowo zostawiam na później), czego efekty i tak zobaczymy dopiero po dwóch, trzech dekadach.

Niewielki procent matek z trójką lub czwórką dzieci nie zasypie demograficznej dziury w sytuacji, gdy znaczna część pozostałych kobiet ostaje z jednym zaledwie potomkiem. Przydałoby im się wsparcie i demograficzna solidarność. Jak jednak wynika z przytoczonych wcześniej badań, matki jedynaków w przeważającej mierze chciałyby urodzić kolejne dzieci. Dlaczego więc tego nie robią? Co sprawiło, że to dzietnościowe

zaniechanie, będące też przyczyną malejącej liczby kobiet w wieku rozrodczym, jak również partnerów potrzebnych im do zakładania rodzin, upowszechniło się tak szeroko w społeczeństwie?

## Mieszkania, żłobki i zarobki

„W 2011 roku Polki w Wielkiej Brytanii miały współczynnik dzietności na poziomie 2,13 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym. W tym samym roku ten współczynnik dla Brytyjek w Wielkiej Brytanii wynosił 1,84 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym. A w Polsce współczynnik ten kształtuje się na poziomie 1,3-1,4 przez ostatnie 20-30 lat, od czasu zmiany ustrojowej” – mówi mi Barbara Janta, badaczka z University of Warwick, która przeprowadziła szereg analiz socjologicznych w ramach swojego doktoratu i pracy naukowej dla Komisji Europejskiej oraz brytyjskiego rządu. Pytam ją, dlaczego Polki w Wielkiej Brytanii rodzą znacznie więcej dzieci niż Polki w Polsce oraz trochę, ale wciąż wyraźnie więcej, niż Brytyjki w Wielkiej Brytanii<sup>49</sup>. – Zastanawiało mnie, jakie czynniki wpływają na podejmowanie decyzji o rodzicielstwie na emigracji. Analizując dane statystyczne wiedziałam, że przed wejściem Polski do Unii Europejskiej około 70% dzieci urodzonych przez Polki w Wielkiej Brytanii, miało ojca nie będącego Polakiem. Jednak w momencie, kiedy nastąpiła masowa migracja poakcesyjna, te proporcje bardzo się zmieniły i około ¾ dzieci Polek w Wielkiej Brytanii urodzonych od 2007-2008 roku ma ojca Polaka. Znaczna część tych dzieci mogłaby więc urodzić się też w Polsce – stwierdza badaczka. A jednak tak się nie stało. Dzieci te zostały urodzone dopiero po przybyciu Polek i Polaków do Wielkiej Brytanii.

Jak mówi mi Barbara Janta, w swoim badaniu wykorzystała dane uzyskane z urzędów statystycznych w Wielkiej Brytanii, ale przeprowadziła też swoje badania. „Informacje do badań pozyskałam z urzędów statystycznych w Wielkiej Brytanii. Pokazują one między innymi kraj urodzenia ojca i matki dziecka, wiek matki, rok urodzenia dziecka, ale także czy jest ono ze związku małżeńskiego czy pozamałżeńskiego. Z tego źródła miałam twarde dane od 2003 do 2018 roku, czyli do czasu, gdy kończyłam moją analizę. Musiałam mieć też własne dane, by wyłapać pewne niuanse. Przeprowadziłam ankietę internetową o dużym zasięgu, w której udział wzięło ponad 1100 osób. Była ona przeprowadzona w 2013 i 2014 roku. Dane te mogą wydawać się historyczne, ale w demografii trendy nie zmieniają się z dnia na dzień. Trzeba czasem 10-20 lat, aby zobaczyć efekty po wprowadzeniu jakiejś zmiany w polityce rodzinnej, np. polityce żłobkowo-przedszkolnej czy po wprowadzeniu zasiłku na dzieci” – wyjaśnia i dodaje: „W ankiecie zadałam wiele pytań o rodzicielstwo, związki z rodziną, doświadczenia na rynku pracy w Polsce i w Wielkiej Brytanii. O to, co respondenci brali pod uwagę w kontekście podejmowania decyzji o założeniu rodziny”.

– Pytała Pani badanych o to, ile chcieliby mieć dzieci w porównaniu z tym, ile mają? – pytam zaciekawiony. „Tak, to było jedno z zagadnień. Polki deklarowały, i z polskich

danych zebranych przez urząd statystyczny w Polsce też wynika, że chcą mieć sporo dzieci. Ogólnie ponad dwoje na kobietę. Ale gdy skonfrontować to z danymi, ile w rzeczywistości mają dzieci, to dane wyraźnie pokazują, że mniej niż chciałyby” – odpowiada Barbara Janta, zwracając uwagę na lukę dzietnościową, która wyraźnie ujawniła się także w jej badaniach.

– Pytałam też badanych o przyczyny, dlaczego nie byli w stanie zrealizować swoich aspiracji i planów rodzicielskich w Polsce. Wówczas respondenci wymieniali litanie powodów. Dużo osób zwracało uwagę na trudną sytuację na rynku pracy i niepewność zatrudnienia. Wielu przed wyjazdem z Polski miało niestabilną pracę czy wręcz było bezrobotnych, a Ci, którzy ją mieli, często skarżyli się, że była niesatysfakcjonująca pod względem wysokości wynagrodzenia, rodzaju umowy oraz możliwości rozwoju kariery. Na przykład, dla polskiego rynku pracy specyficzne są umowy na czas określony, często zawierane kilkakrotnie, oraz umowy cywilno-prawne, tzw. śmieciowe, a nie stałe umowy o pracę, a to bardzo nie sprzyja planowaniu długofalowemu. Kiedy człowiek podejmuje decyzje rodzicielskie, to robi to myśląc nie o następnym roku czy dwóch, ale o dłuższej perspektywie czasowej – podkreśla ekspertka, wyliczając pierwszy z kluczowych powodów rezygnacji z posiadania dzieci w Polsce. Czyli spychanie na umowy śmieciowe i niepewność długotrwałego zatrudnienia. „Oprócz tego rynek pracy w Wielkiej Brytanii, jest bardzo elastyczny w kwestii możliwości pracy na niepełny etat. Jest dużo prac w niepełnym wymiarze godzin albo w których można indywidualnie ustalić sobie plan, na przykład godzinę rozpoczęcia i zakończenia pracy. Praca na niepełny etat ma też swoje wady, ale jeśli jest zawierana w oparciu o stałą umowę o pracę na okres nieokreślony to na pewno pomaga w jednoczesnym realizowaniu się zawodowo i byciu z dziećmi” – uzupełnia.

W przerwie od redagowania wywiadu z Barbarą Jantą do reportażu czytałem książkę „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast”<sup>50</sup>. Jakże trafne i zgodne z tym, co wynikało z badań ekspertki, były słowa jednego z cytowanych rozmówców autora reportażu: „Będąc na Wyspach, tęskniłem za Polską i miejscem, gdzie się urodziłem. Czułem, że powinienem wrócić, bo tam zostawiłem korzenie. Kiedy tu jestem, marzę z kolei o tamtej stabilności”.

Jakie inne czynniki odgrywają rolę w dzietności Polek w Wielkiej Brytanii? – Z moich badań wynika także różne podejście do opieki nad dziećmi i to, w jaki sposób system jest zorganizowany w Wielkiej Brytanii i w Polsce. W Wielkiej Brytanii od około 20 lat dzieci mają darmową opiekę od 3 roku życia. Najpierw w wymiarze 15, a potem 30 godzin tygodniowo, jeśli oboje rodziców pracuje minimum 16 godzin tygodniowo każdy. Czyli jest stabilna i pewna opieka w stałych godzinach. Pytam, co ze żłobkami? „Chociaż wcześniejsza opieka jest w Wielkiej Brytanii bardzo droga w porównaniu do żłobków w Polsce, bo kosztuje około 1500 funtów miesięcznie na jedno dziecko, to jeśli ktoś ma niskie zarobki, może otrzymać dofinansowanie pokrywające koszty żłobka nawet do

70% i te dogodności także podkreślali badani przeze mnie rodzice” – odpowiada Barbara Janta. „Potem, w wieku 4 lat, dzieci rozpoczynają naukę w szkole. Większość szkół podstawowych organizuje lekcje od około 9 do 15:30. Czy to poniedziałek czy środa, czy w styczniu czy w lipcu – w Anglii rok szkolny kończy się zazwyczaj w połowie lipca, a wakacje letnie trwają 6 tygodni – dzieci są w szkole w tych stałych godzinach, a to zapewnia przewidywalność. Można zaplanować godziny pracy i to też był ważny czynnik, który podkreślali respondenci w moich badaniach”.

– Oprócz tego Polacy w Wielkiej Brytanii wymieniają się opieką nad dziećmi. Miałam wśród badanych sporo rodzin, które udzieliły w ankiecie i w czasie wywiadów informacji, że nie korzystają ze żłobków, przedszkoli czy opiekunek, bo możliwa była wymiana opieki nad dziećmi pomiędzy zaprzyjaźnionymi rodzinami. Często raportowano mi też, że opieką wymieniają się rodzice. Przykładowo, że jeden rodzic pracuje przed południem, a drugi po południu, i o każdej porze jest komu zostać z dzieckiem. W ogóle polscy mężczyźni w Wielkiej Brytanii bardziej angażują się w obowiązki domowe. I to nie tylko na zasadzie, że tylko pomagają, ale że są zaangażowani w pełnym wymiarze w obowiązki opiekuńcze. Często respondentki mówiły, że mąż zajmie się dziećmi, więc one mogą wyskoczyć do dodatkowej pracy na 2-3 godziny, a wieczorem, jak wrócą, to mąż położy dzieci i mamy 2 godzinki dla siebie – w czasie, gdy padają te słowa, z głębi domu badaczki słychać odgłosy męża i dzieci wyprawianych przez niego do szkoły, bo rozmowę odbywamy wcześniej rano, przez komunikator wideo.

Tymczasem w Polsce od wczesnych lat 90. i transformacji kapitalistycznej wiele pracodawców i zakładów pracy przestało wypełniać funkcje opiekuńczo-socjalne. Przykładowe przedszkola zniknęły, często razem z samymi zakładami pracy. Sprywatyzowana w dużej mierze opieka przedszkolna nie była powszechnie dostępna, a do tego kosztowała, na co wielu ludzi w postkomunistycznej rzeczywistości nie było siłą rzeczy stać. O ile państwowi pracodawcy zaczęli w ostatnich latach wracać do tych prorodzinnych praktyk – na przykład uczelnie coraz poważniej podchodzą do organizacji przedszkoli uniwersyteckich, dostępnych również dla dzieci studentów czy doktorantów – to prywatne firmy tylko z rzadka decydują się na takie prospołeczne ruchy. Modne obecnie benefity pracownicze oferowane przez korporacje, takie jak abonament do obiektów sportowych i pakiety medyczne do prywatnych przychodni, znaczą niedużo w porównaniu do realnego wsparcia w funkcjach opiekuńczych, które jeszcze kilka dekad temu w bardzo wielu zakładach i firmach było oczywistością. Istotę problemu dostrzega także Barbara Janta: „Po transformacji nie było silnych instytucji opiekuńczych, cały system opieki i rynku pracy się załamał, a to są kluczowe czynniki dla osób, które podejmują decyzje o założeniu rodziny. Ale wśród przyczyn niskiej dzietności w Polsce nie należy wymieniać tylko transformacji ustrojowej i powiązanych z nią zmian. A to dlatego, że niska dzietność jest też w wielu innych krajach europejskich, m. in. w Grecji, Włoszech czy Hiszpanii, czyli w krajach, w których system opieki opiera się na rodzinie, a nie jest zapewniany instytucjonalnie”.

Badaczka, wracając do kwestii zarobkowych, zwraca również uwagę na warunki pracy. „Jedna z badanych Polek opowiedziała mi, że mąż w Polsce jeździł na tirach i nie było go przez 2-3 tygodnie. Tutaj też pracuje na tirach i co drugi dzień jest w domu, co bardzo go cieszy. Dają sobie radę finansowo, mają trójkę dzieci i są szczęśliwi. Ogólnie rodziny Polaków w Wielkiej Brytanii mające jedno dziecko często zauważały, że po prostu dawały sobie radę finansowo i logistycznie i dlatego często decydowały się na kolejne dzieci”. W kontekście adresowania wyzwań związanych z niską dzietnością ma to ogromne znaczenie, bo jedynakami kryzysu demograficznego nie zażegnamy. „Ważną kwestią jest to, ile kobiet decyduje się na drugie dziecko. W Polsce jeszcze do niedawna bezdzietność wśród kobiet była stosunkowo rzadkim zjawiskiem, a niska dzietność w większości wynika z faktu, że rodziny decydują się tylko na jedno dziecko. Jednak w polityce demograficznej ważne jest nie tylko zachęcanie do posiadania pierwszego dziecka, ale też do kolejnych”.

Do bardzo złej sytuacji demograficznej w Europie, do rezygnacji z posiadania drugiego czy trzeciego dziecka – a w wielu przypadkach nawet pierwszego lub odkładanie decyzji o nim na potem – przyczynił się także kryzys finansowy z 2008 roku, ciągnący się przez kolejne lata, a na Południu Europy – we Włoszech, w Grecji czy w Hiszpanii – trwający do dzisiaj. W czasach, kiedy „stabilne zatrudnienie stało się warunkiem rodzenia dzieci” – jak zauważają hiszpańscy badacze<sup>51</sup> – wysokie bezrobocie oraz niestabilność co do swojego zatrudnienia, a w konsekwencji również często miejsca zamieszkania, są jednymi z głównych przeszkód na drodze do zakładania rodziny i rodzenia dzieci.

Kraje Południa przez swoją sytuację ekonomiczną nie są również w stanie finansować usług socjalnych na takim poziomie, na jakim robi to będąca we względnie nie najgorszej kondycji demograficznej Szwecja. „Inwestycje w usługi [opiekuńcze] i finansowanie [socjalne] różnią się w zależności od kraju, stanowiąc około 1,5% całkowitego PKB w 2015 roku w krajach Europy Południowej i ponad dwukrotnie więcej w krajach Europy Północnej” – napisał niedawno<sup>52</sup> Gilles Pison antropolog i demograf z Muséum National d'Histoire Naturelle (Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu) i Institut national d'études démographiques (francuski Narodowy Instytut Badań Demograficznych).

## Za starzy rodzice?

Biologia rozwoju nakłada na nas pewne ramy czasowe, w trakcie których możemy się prawidłowo rozmnażać. O ile mężczyzna może mieć zdrowe dzieci bez większych obaw nawet po 50-tce, to u kobiet sprawa komplikuje się już w okolicach 35 roku życia<sup>53</sup>. Przez spadek stabilności chromosomów wzrasta wtedy znacząco ryzyko wystąpienia mutacji chromosomalnych podczas dojrzewania żeńskich komórek płciowych i



późniejszego rozwoju zarodkowego, prowadzących, jeśli nie do poronienia, to do rozmaitych chorób, w tym zespołów wad wrodzonych, takich jak zespół Downa. Z czasem spada też liczba oocytów (komórek jajowych), podczas gdy męskie plemniki są stale odnawiane, co około 73 dni. Co gorsza, mitochondrialne DNA przekazywane jest następnemu pokoleniu tylko od matki i ono, wraz z wiekiem kobiety, również się starzeje. Mijające lata przekładają się także na gorszą jakość płynu pęcherzykowego czy czynników transkrypcyjnych, które zarodek otrzymuje od matki, a z których korzysta na początku embriogenezy. Pomimo, że u starszych mężczyzn jakość plemników też ulega pogorszeniu, to jest to stosunkowo niewielki problem (bardziej nagłym może okazać się zmniejszenie, od kilku już dekad, liczby plemników w nasieniu obywateli państw zachodnich<sup>54</sup> – nawet o około 50% w skali zaledwie 40 lat – choć są też prace naukowe sceptyczne wobec takich wyników i ekstrapolowania ich na ogół populacji<sup>55</sup>) i rzadko tak drastycznie wpływa na płodność i możliwość posiadania zdrowych dzieci.

Tymczasem Europejki zakładają rodziny w coraz późniejszym wieku. „Przeobrażenia jakim podlega proces tworzenia, rozwoju i rozpadu rodziny w krajach europejskich w ostatnich 4 dekadach można najkrócej scharakteryzować jako proces opóźniania zakładania rodziny i decyzji o dzieciach oraz deinstytucjonalizacji i destabilizacji rodziny” – napisano w poświęconemu dietności raporcie Diagnozy Społecznej z 2013 roku<sup>56</sup>. Od tego czasu trend się nie odwrócił: jak zauważono w dokumencie demograficznym Komisji Europejskiej z 2020 roku „kobiety rodzą dzieci przeciętnie coraz później w swoim życiu”<sup>11</sup>. Z danych Eurostatu wynika, że najmłodziej matkami po raz pierwszy zostają: Bułgarki (średnio w wieku 26,3 lat), Rumunki (26,9 lat), Słowaczki (27,2 lat), Łotewki (27,3 lat) i Polki (27,6 lat). Najpóźniejsze wejście w macierzyńską dorosłość odnotowywane jest z kolei we Włoszech (średnio w wieku 31,3 lat), Hiszpanii i Luksemburgu (31,1 lat), Irlandii (30,7 lat), Grecji (30,6 lat) i Holandii (30,1 lat). Przeciętnie Europejka zostaje matką po raz pierwszy dopiero w wieku 29,4 lat<sup>57</sup>. Uogólniając, jest to regres średnio aż o prawie dekadę w porównaniu z początkiem XX wieku.

Stwierdzając wprost, kobiety w Europie od kilkudziesięciu lat pierwsze dziecko mają coraz później, podczas gdy biologiczne starzenie układu rozrodczego nie odroczyło się. Efektem tego jest fizycznie mniej czasu (lub jego brak) na urodzenie większej liczby dzieci (albo nawet pierwszego dziecka). Kobiety zwykle zmuszone są więc poprzestać na jednym, czasem dwóch, nawet jeśli chcą mieć więcej, bo ryzyko związane z ciążą zbyt szybko wzrasta<sup>58</sup>, a rodzenie jednego za drugim, rok po roku, „by zdążyć”, też może mieć swoje konsekwencje lub prowadzić do wyrzeczeń, na które nie każda para jest gotowa.

Żeby było jeszcze trudniej, starzejące się społeczeństwo w praktyce przekłada się na konieczność pomagania starszym, często niedomagającym członkom rodzin, zwłaszcza rodzicom. „Pokolenie, które rodzi dzieci później niż wcześniejsze pokolenia, nazywane jest kanapkową generacją (ang. *the sandwich generation*). Z jednej strony, ze względu na późniejsze rodzicielstwo ma swoje małe dzieci i związane z nimi obowiązki opiekuńcze, a z drugiej rodzice ciągle żyją, mają 70 lat i więcej i też zaczynają wymagać opieki” – zauważa Barbara Janta i pyta: „Późniejsze rodzicielstwo stawia przed obecnymi rodzicami szereg wyzwań, których nie doświadczyły wcześniejsze pokolenia. Obecni rodzice muszą dzielić swoje zasoby i czas manewrując między opieką nad dziećmi i rodzicami. Wynika z tego wiele trudnych sytuacji, bo gdy trzeba zająć się własną matką, a jednocześnie dziecko jest chore i nie może pójść do szkoły, to jak to wszystko ze sobą pogodzić?”. Instytucja babci i dziadka w sytuacji, gdy rodzicielstwo środkowego pokolenia rozpoczyna się później, z pomocowej staje się obciążeniowa. Dziadkowie z wnukami siłą rzeczy, mimo woli, konkurują o zasoby: czas, uwagę, pieniądze.

Z czego wynika aż tak radykalne odkładanie rodzicielstwa na później? Odpowiedź na to pytanie pozwoliłaby wywnioskować, co konkretnie pogłębia lukę dietnościową i co powoduje i napędza zapaść demograficzną w Europie.

## Odwlekanie rodzicielstwa ma różne przyczyny

Częściowo na postawione pytanie odpowiedź już znamy. Niedostępność mieszkań, niskie zarobki, kiepskie rodzaje zatrudnienia, brak stabilności finansowej, a przez to materialnych warunków do życia, zmusza wiele par do odkładania rodzicielstwa na później, aż będą mogły mieć dzieci bez martwienia się o dach nad głową czy pieniądze na rachunki, jedzenie, leki, ubrania albo środki czystości. W pewnym momencie okazuje się, że młodzi ludzie szukający bezpieczeństwa są za starzy na dwójkę, trójkę bądź czwórkę dzieci, nawet jeśli stworzenie takiej rodziny było jednym z ich podstawowych marzeń. Na takie aspiracje większości Europejek wskazują liczne badania luki dietnościowej w UE. Z drugiej strony część młodych dorosłych daje pierwszeństwo wyraźnie powszechniejącemu konsumpcjonistycznemu stylowi życia, indywidualistycznemu samorozwojowi czy budowaniu korporacyjnej kariery, które są niekorzystne nie tylko dla tych zatroskanych o demografię, ale również o stan środowiska: klimat, bioróżnorodność, poziom zanieczyszczeń wód i gleb. W takiej wizji nie ma miejsca na głębsze emocjonalne związki z partnerem i na dzieci, które z tej perspektywy stanowią przeszkodę, a nie cel, sens czy urozmaicenie istnienia. A jeśli już, to jedno, w pośpiechu i pomiędzy. Nawet jeżeli gdzieś głęboko i podświadomie młoda osoba czy para chciałaby mieć dwójkę lub trójkę pociech.

Jest jeszcze trzecia strona tego zagadnienia. Oczekiwania ludzi względem tego, czego chcą dla swoich dzieci, rosną. Odchowanie jednego dziecka staje się przez to coraz droższe. Dziś nie wystarczy go ubrać, wykarmić i posłać do szkoły, ale też kupować różne – i coraz rozmaitsze – zabawki, gadżety, wysyłać na zajęcia dodatkowe, na coraz odleglejsze wakacje. Trzeba też poświęcać mu więcej czasu w kontekście cyfryzacji, bo dostęp do Internetu stwarza mnóstwo nowych zagrożeń dla rozwoju i zdrowia dziecka. Jednocześnie upowszechnione smartfony, z aplikacjami celowo zaprojektowanymi tak, aby uzależniać behawioralnie, sprawnie i na masową skalę ten czas kradną.

Swój indywidualizm i ambicje rodzice przenoszą na swoje dzieci, zwykle na jedynaków. W efekcie pieniądze i czas, które kiedyś wystarczyłyby na materialne zabezpieczenie jednego dziecka, aktualnie mogą jedynie przypominać o swojej dawnej wartości. To taka specyficzna inflacja, inflacja wychowawcza. Obecnie nie tylko dorośli są w pierwszej kolejności konsumentami i użytkownikami, a dopiero potem ludźmi. Takie podejście w antyspołecznie ustawionym systemie kapitalistycznym nasila się też wobec dzieci, a w kapitalizmie inwigilacji – w szczególności<sup>59</sup>.

Gonienie za pieniędzmi – czy to dla zapewnienia podstawowego bezpieczeństwa, czy dla zdobycia pozycji i kariery lub środków na przyziemne przyjemności albo na rozpieszczanie swojego jedyne dziecko – to jeden pożeracz czasu i energii. Drugim jest edukacja. Choć mądrość ludowa mówi, że uczyć powinniśmy się przez całe życie, to *stricte* rozumiana nauka, w sensie sformalizowanym – w szkołach i na uczelniach – bardzo się przez ostatnie kilkanaście dekad wydłużyła i upowszechniła. Być może zatem z większą przychylnością powinniśmy patrzeć na programy zachęcania studentów do zakładania rodziny? Organizowania żłobków i przedszkoli uczelnianych czy zapomóg uniwersyteckich na dzieci? Komasaowania programów nauki tak, aby skrócić je łącznie o dwa semestry w edukacji obowiązkowej i wyższej? Co już samo w sobie daje czas na wczesne częściowe odpieluszkowanie jednego potomka.

Na rozważenie zasługuje też systemowe propagowanie wcześniejszego usamodzielniania się, jak ma to miejsce w Szwecji (radzącej sobie względnie nie najgorzej z kryzysem demograficznym na tle reszty państw Unii Europejskiej), gdzie w 2019 roku tylko 22,4% osób w wieku 18-34 żyło z rodzicami, podczas gdy w Grecji i we Włoszech odsetek ten wynosił aż 69,4%, w Hiszpanii 64,5%, w Polsce 58,9%, w Austrii 42,6%, w Niemczech 41,6%, we Francji 36,4%, a ogółem w UE 50,4%<sup>60</sup>. Do tego jednak trzeba okoliczności pozwalających zapewnić młodym ludziom zasadniczy byt. Na przykład omówione wcześniej dobra, takie jak swój dach nad głową czy stabilność zatrudnienia.

## Odpowiedni partnerzy

Żeby mieć dziecko i założyć rodzinę, potrzeba partnera. Znalezienie go w czasach przenoszenia coraz większej części swojego życia do świata wirtualnego w Internecie (co też nie dzieje się naturalnie, samo z siebie, lecz jest efektem skrupulatnie realizowanych strategii korporacji technologicznych, dążących do pozyskiwania danych behawioralnych podczas inwigilacji i późniejszego spieniężania ich<sup>58</sup>), wydaje się zajmować więcej czasu i być trudniejsze, nawet pomimo aplikacji służących do nawiązywania nowych kontaktów, jednakże często sptycających pączkujące dzięki nim relacje.

Są też tacy, którzy twierdzą, że trend utrudnionego zawiązywania romantycznych relacji nasila rozpoznawana wśród niektórych młodych ludzi chęć do bycia singlem lub pozostawania w otwartych związkach, bez głębszego wzajemnego zakotwiczenia i zakładania rodziny. Jednak problem ten w dłuższej perspektywie może okazać się marginalny. „W moich badaniach, kiedy pytam uczestników o to, czy postrzegają życie w pojedynkę jako wybór lub jako sytuację niezależną od nich, to niewielki odsetek osób deklaruje, iż wybiera życie w pojedynkę, a jeszcze mniejszy odsetek osób wskazuje, iż w przyszłości nie chciałoby mieć partnera/partnerki” – mówiła w „Życiu Uniwersyteckim”<sup>61</sup> badaczka związków, Katarzyna Adamczyk z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wyjaśniła też, że „taki wzorzec wyników nie zaskakuje, gdyż potrzeba przynależności stanowi fundamentalną potrzebę człowieka, a intymne i bliskie związki są podstawową cechą tego, kim jesteśmy jako ludzie i warunkują dosłownie i w przenośni nasze przeżycie”.

Kiedy już para osób stworzy trwałą związek, przed nimi dalsze przeszkody. Nie tylko te kluczowe, dotyczące zarobków i zdobycia stałego, odpowiednio dużego dla pary z dziećmi miejsca zamieszkania. Zdaniem analityków z Centre for Economic Policy Research (Centrum Badań Polityki Gospodarczej) niemałe znaczenie w obecnym kryzysie demograficznym Europy ma niezgodność partnerów co do tego, ile dzieci w danym momencie chce mieć każdy z nich<sup>62</sup>. „Nasza analiza potwierdza, że spór między partnerami co do posiadania dzieci jest rzeczywiście głównym czynnikiem powodującym niską płodność w całej Europie” – stwierdzają autorzy. Zwracają uwagę, że tam, gdzie zaangażowanie mężczyzn w wychowaniu jest nieduże (a obciążenie pracą dotyczy obu płci, czyli i on i ona pracują), kobiety prawdopodobnie będą oponować przeciwko posiadaniu następnych dzieci. Tymczasem „najważniejsze jest to, że jeśli para nie chce dziecka, prawdopodobnie się ono nie pojawi. Jeśli kobieta chce mieć dziecko, a mężczyzna się z tym nie zgadza, nadal istnieje pewna szansa na dziecko, ale prawdopodobieństwo to stanowi tylko około jedną trzecią szansy w porównaniu z momentem, w którym para wspólnie zgadza się na dziecko. Jeśli to mężczyzna chce dziecka, a kobieta się na to nie zgadza, wpływ na prawdopodobieństwo urodzenia

dziecka jest nie do odróżnienia od zera” – wnioskuje. Te same spostrzeżenia wynikają również z innych badań<sup>63</sup>.

## Rodzicielstwo i indywidualizm

Źródło kryzysu demograficznego zasila zbyt późne zakładanie rodziny, a na koniec wzmacniać je może niezgodność między partnerami, wynikająca znowu z wcześniejszych trudności (mieszkanie, praca) i nieproporcjonalnego obciążenia związanymi z nimi zmaganiem. Wymarzona dwójka bądź trójka dzieci, które w sytuacji idealnej chciałyby urodzić większość Europejki, ogranicza się często do jednego, a czasem do bezdzietności, ponieważ panujący system znacznie utrudnia dostęp do stabilnego miejsca zamieszkania oraz wieloletniego, pewnego zatrudnienia. Istnieje również koncepcja, według której przyczynkiem do rezygnowania z kolejnych dzieci – kiedy już dwie osoby założyły rodzinę i mają pieniądze na życie oraz zapewniony dach nad głową – jest wypalenie rodzicielskie.

Nie da się nie zauważyć, że znaczna część przeszkód na drodze do stabilizacji i założenia rodziny może mieć związek ze skrajnie indywidualistycznym podejściem do życia na różnych jego płaszczyznach: w pracy, życiu rodzinnym oraz społecznym, w stawianiu coraz to wyższych wymagań, bez równoczesnego wydłużenia doby, tygodnia, zwiększenia wytrzymałości mięśni i ludzkiej psychiki. A, jak się okazuje, badania naukowe prowadzone wśród rodziców z różnych państw i kultur na całym świecie pokazują, że im bardziej indywidualistyczne społeczeństwo, tym silniej jest ono podatne na wypalenie rodzicielskie. W duży, międzynarodowy projekt – The International Investigation of Parental Burnout Consortium (Międzynarodowe Konsorcjum Dochodzenia nad Wypaleniem Rodzicielskim) – badający to zjawisko zaangażowana jest także Dorota Szczygieł, naukowczyni z Uniwersytetu SWPS.

– Na czym polega wypalenie rodzicielskie? – pytam badaczkę. „Nie jest to pojęcie zupełnie nowe w psychologii, ale może zacząć tak z dwa piętra wyżej” – odpowiada i zaraz dodaje, że „żeby się wypalić to trzeba się zapalić najpierw. Dotyczy to więc spraw nadających życiu sens i bardzo często łączone jest z pracą zawodową. Wszyscy słyszeli o czymś takim jak wypalenie zawodowe. To jest stan pojawiający się u ludzi, którzy przeinwestowali i dotyczy aktywności, które są dla człowieka bardzo ważne. Początkowo odnosiło się to do pielęgniarek i innych zawodów pomocowych, w których ludzie angażują się na rzecz innych i ta praca jest ich misją”.

– Autorka koncepcji wypalenia zawodowego – Christina Maslach – wyróżniła trzy aspekty wypalenia. Pierwszy to wyczerpanie emocjonalne, polegające na tym, że ma się dosyć, nie chce się iść do pracy, nic nie cieszy. Osoby wyczerpane podejmują działania, które pomogą się odkleić od tego, co wyczerpuje – od pacjentów, klientów – i prowadzi to do drugiego aspektu, czyli depersonalizacji. Osoba wypalona zaczyna traktować osoby, z którymi pracuje trochę przedmiotowo, bo to dystansuje, zmniejsza

wyczerpanie, ale prowadzi także do trzeciego symptomu, którym jest obniżona skuteczność i rozczarowanie sytuacją, poczucie, że nie tak miało być – wyjaśnia Dorota Szczygieł.

Następnie ekspertka przechodzi do wypalenia rodzicielskiego: „Pojęcie to pojawiło się w 1983 roku w książce pt. „Parent burnout”. Autorzy pracowali z ludźmi wypalonymi zawodowo i zauważyli, że jest z nimi słabo, ale że powodem ich wymęczenia niekoniecznie jest jedynie praca, bo są też obciążeni tematami rodzinnymi, dziećmi. Nie było to tak ciężkie jak depresja, ale podobne. Objawiało się wyczerpaniem rolą rodzica, lecz bez depersonalizacji, bo nie da się zdepersonalizować dziecka, ale można się emocjonalnie oddalić od jego problemów i zdystansować się do niego. Ważny symptom to także przesyt rolą rodzica, utrata szczęścia z bycia nim. U niektórych osób przychodzi taki moment, że po prostu tego wszystkiego jest za dużo i prowadzi to do odczucia, że nie tak miało być, że nie takim chciałam być rodzicem. Często to dotyczy tych którzy za bardzo się starają i wkładają w rodzicielstwo zbyt duże zasoby i energię, co potem nakręca jeszcze poczucie winy”. Brzmi znajomo. Przypomina obawy o poświęcanie zbyt wiele energii i uwagi oraz pieniędzy na jedno dziecko, o swego rodzaju inflacji wychowawczej, kiedy zasoby, które w przeszłości wystarczyły na kilka dzieci, dziś zapewniają byt jednemu.

Psycholożkę z SWPS pytam następnie o indywidualizm i o to, czy istnieją różnice w potocznym, psychologicznym i socjologicznym jego rozumieniu. „W socjologii indywidualizm polega na tym, że interes jednostki jest ważniejszy od interesu grupy, że ludzie organizują się głównie wokół swojej najbliższej rodziny i już nie dalej” – odpowiada specjalistka i poleca mi zajrzeć do pracy, w której pada definicja: „Indywidualizm jest właściwy społeczeństwom, w których więzy między jednostkami są luźne i każdy ma na uwadze głównie siebie i swoją rodzinę. Przeciwnieństwem jest kolektywizm, który charakteryzuje społeczności, gdzie ludzie należą do silnych, spójnych grup”<sup>64</sup>. Pokazując mi ją, w międzyczasie dodaje też, że „kolektywistyczne jest natomiast uczenie dziecka myślenia w kategorii „my” i koncentracja na rodzinie wielopokoleniowej, bo zapewnia bezpieczeństwo i oparcie”.

Czyli indywidualizm rozpatrywany w tym kontekście to nie oryginalność, egoizm, narcystyczność i zwracanie na siebie uwagi, jak się powszechnie przyjmuje w odniesieniu do cech charakteru, lecz skupianie się na sobie i najbliższej rodzinie, z pominięciem dalszych krewnych czy sąsiadów. Polska od czasów transformacji mocno przesunęła się na spektrum kolektywizm-indywidualizm w kierunku tego drugiego. W pracy, której Dorota Szczygieł jest współautorką, cytowane są wyniki pokazujące, że Polacy zyskują 60 punktów w 100-punktowej skali, gdzie 0 to skrajny kolektywizm, a 100 – radykalny indywidualizm. Bardziej indywidualistyczni są Finowie, Niemcy, Francuzi, Holendrzy, Włosi czy Belgowie, ale także Szwedzi<sup>65</sup>.

- Z Waszych badań wynika, że w krajach bardziej indywidualistycznych wypalenie rodzicielskie jest skorelowane dodatnio. Dlaczego? – pytam dalej. „Jest wiele czynników. Ja mam swoją koncepcję, dlaczego tak jest” – słyszę i zaraz dopytuję o szczegóły. „Moim zdaniem wynika to z braku wsparcia instytucjonalnego. Jest taki program Unii Europejskiej, „Eurydice”. Jego celem było, by w 2017 roku ponad 30% dzieci miało zapewnioną opiekę. Chodziło o przedszkola, żłobki, żeby to było dostępne. W 2018 roku była radość, bo to się udało, ale wie Pan jak to jest ze statystyką i na przykład jeśli chodzi o te żłobki i przedszkola, to w Holandii dostępność dotyczyła ponad 60% dzieci, a w Polsce 11%. W Holandii jest niskie wypalenie rodzicielskie, w Polsce wysokie. Przypadek?” – badaczka charakterystycznie zawiesza na sekundę głos i kontynuuje: „Nie sądzę. Jak pisałam artykuł naukowy na ten temat, nie wiedziałam jak wybrnąć z przyczyn, myślałam o symbolu Matki Polki, ale to jest *passee*. Identyfikacja młodych Polek z matką męczennicą? Nie sądzę”.

- Czyli wypalenie rodzicielskie związane z indywidualizmem społecznym może być po części niwelowane przez instytucjonalną pomoc państwa w opiece? – dopytuję i jednocześnie zastanawiam się, czy podobnej roli w mniej indywidualistycznych społeczeństwach nie spełniają sąsiedzi oraz dalsza rodzina. Zerkając na cytowaną wcześniej skalę indywidualizmu w krajach Europejskich (i mając na uwadze przesuwanie się ich na niej w kierunku bardziej indywidualistycznym) od razu przypomina mi się wczesne dzieciństwo z lat 90. na wielkomiejskim blokowisku. Grupa bliższych sąsiadów, którzy byli dla mnie trochę jak ciocie i wujkowie, regularne spotkania, dawanie sobie drobnych prezentów na święta, składanie życzeń na Nowy Rok, dzielenie się ciastem itp. Dziś takie stosunki sąsiedzkie są coraz rzadsze. Ich poluzowanie, czasem nawet całkowity zanik, dotyczą nie tylko utrzymywania relacji między dorosłymi, lecz odnoszą się także do dzieci. Ich wspólnej zabawy, odciążania raz jednych rodziców, raz drugich, zależnie od tego, u których sąsiadów (lub pod okiem których) akurat się bawią. Jeśli dobre relacje po sąsiedzku wygasają, zamiast wymieniania się drobnymi przysługami pozostaje częstsze wynajmowanie nianiek, opiekunek, zostawianie dzieci w przedszkolu. Odpowiedzialność spada więc na instytucje i finanse publiczne, a jeśli te nie dają rady zapewnić wsparcia, rodzice są przeciążeni.

- Tak, ale to spekulacja. Poza tym, wie Pan, cała koncentracja idzie na to by dziecku było najlepiej, ale nikt nie myśli o matkach. A one też pracują, studiują, nie czekają na oklaski, tylko się starają – odpowiada Dorota Szczygieł. Faktycznie, zaobserwowano „kilka poważnych zmian socjologicznych w ciągu ostatnich kilku dekad (...), które głęboko zmieniły rodzicielstwo, prowadząc do większego zaangażowania rodziców, bardziej intensywnego rodzicielstwa, nadopiekuńczości i optymalizacji pod dzieci”<sup>64</sup> – zauważają autorzy badania nad indywidualizmem i wypaleniem rodzicielskim. Tymczasem zdaniem psychologa Petera Gray’a nadopiekuńczość wobec dzieci, ograniczanie rozwijania samodzielności, ukracanie zabawy bez kontroli dorosłych, może stanowić jedną z przyczyn epidemii narcyzmu, depresji, lęków oraz obniżonej kreatywności wśród młodego pokolenia Amerykanów<sup>66</sup>.

Postanawiam zapytać naukowczynię o potencjalny mechanizm napędzania wypalenia rodzicielskiego przez indywidualistyczne postawy. „W kulturach indywidualistycznych jest nastawienie na to, i takie jest też złudzenie, że każdy ma sukces na wyciągnięcie ręki, tylko musi się postarać: wstawać o 6 rano, działać i wtedy może coś osiągnąć, a nawet musi coś osiągnąć” – mówi moja rozmówczyni, nawiązując wyraźnie do mitu królowych osobistego sukcesu i kowali własnego losu. „Indywidualizm promuje koncentrację na własnych osiągnięciach i liczy się w nim to, by być lepszym od innych i rywalizować” – również brzmi znajomo. „To jest znak naszych czasów i narasta. Efektem takiego indywidualizmu jest to, że ludzie jako rodzice starają się coraz bardziej, kosztem snu i innych potrzeb. Indywidualizm spowodował jedną wielką korporację na świecie, w której wszyscy muszą wyciskać siódme poty by nie wypaść z systemu, by więcej konsumować, więcej mieć. I co teraz, kiedy ludzie mają dziecko? Nie pasuje ono do indywidualizmu: konsumuje czas, trzeba zrezygnować z pracy, osiągnięć, a poza tym rodzice wiedzą do jakiego systemu wychowują. To nie przypadek, że wysyłają na dodatkowe zajęcia, języki, bo wiedzą, że dziecko ma też iść i walczyć w tym świecie” – kontynuuje Dorota Szczygieł i dodaje: „Mało się robi z myślą o osobach, które się nie załapują na ten system. Każdy ma się na siłę starać, a jak z niego wypada, to jest to czymś wstydlivym i ten wstyd dotyka ludzi za ich rodzicielstwo. Wie Pan, dziś bycie rodzicem to nie jest powód do chwały, w przeciwieństwie do bycia menedżerem”.

Na koniec pytam o coś intuicyjnie oczywistego – w końcu „normy rodzicielskie w krajach najbardziej indywidualistycznych stają się coraz bardziej wymagające w ciągu ostatnich 50 lat, co skutkuje intensyfikacją inwestycji rodziców w rodzicielstwo i rosnącą presją psychologiczną na rodziców”<sup>60</sup> – ale wartego empirycznego potwierdzenia. Mianowicie, czy wypalenie rodzicielskie może przekładać się na niechęć do posiadania kolejnych dzieci, kiedy jedno się już ma. „Ja nie robiłam takich badań w Polsce, ale są one prowadzone w Finlandii, gdzie jest bardzo niski wskaźnik urodzeń” – kończy specjalistka, polecając mi kontakt z fińską badaczką zajmującą się tym zagadnieniem.

„Tak, w naszych fińskich danych, na próbie 1725 osób, ponad połowa rodziców odpowiedziała, że ich wyczerpanie jako rodzica miało wpływ na decyzję o posiadaniu kolejnych dzieci. W konsekwencji wypalenie rodzicielskie może być jednym z powodów stojących za spadkiem wskaźnika urodzeń w Finlandii i prawdopodobnie także w innych krajach zachodnich. Obecnie dalej to badamy, przeprowadzając bardziej szczegółowe porównania między trendami dzietności a wypaleniem rodzicielskim w różnych krajach” – odpowiada mi szybko i sprawnie pocztą elektroniczną Matilda Sorkkila z University of Jyväskylä.

„Ciesz się, ciesz się z osobistych sukcesów, zanim zapłaczesz nasz naszą zbiorową porażką” – wieszczy francuskie graffiti widziane i fotografowane przez internautów w Pau i Marsylii<sup>67</sup>. Indywidualistyczne podejście do życia w młodym wieku, w warunkach



dobrobytu, wypracowanego przed nastaniem czasów powszechnego, silnego indywidualizmu, przy wsparciu modnych wizji o wielkim sukcesie osobistym, może wydawać się kuszące i wygodne. Wiąże się jednak z szeregiem zagrożeń, wśród których wymienić należy nie tylko niszczycielski dla środowiska systemowy konsumpcjonizm czy rozrywający tkankę społeczną narcyzm, ale również zapaść demograficzną niszczącą międzypokoleniową solidarność.

\*\*\*

## Jak rozwiązać problem zapaści demograficznej?

Niedostępność mieszkań samych w sobie bądź ich horrendalnie wysokie i nieadekwatne ceny wynajmu oraz kupna, niestabilne zatrudnienie i umowy śmieciowe, niskie zarobki, rynek pracy dyskryminujący rodziców, a zwłaszcza matki, mało miejsc w żłobkach i przedszkolach, przenoszenie życia towarzyskiego do świata wirtualnego i problemy ze znalezieniem partnera, zbyt późne zakładanie rodziny, indywidualizm społeczno-kulturowy, wartości premiujące egoizm i konsumpcjonizm. To główne elementy składające się na europejski kryzys demograficzny. Pytanie, co zrobić, by mu zaradzić? Jak odwrócić katastrofalne trendy i zapobiec głębokiej zapaści społecznej, socjalnej, zdrowotnej, gospodarczej, strukturalnej?

Jarosław Kaczyński – prezes rządzącej Polską od 2015 roku partii „Prawo i Sprawiedliwość” (PiS) powszechnie nielubiany, ale doceniany za myślenie strategiczne w polityce – powiedział w maju 2021 roku w wywiadzie dla „Interii”, że „istnieją te społeczno-gospodarcze przesłanki, które powodują, że kobiety boją się zachodzić w ciążę. Będziemy to korygować.”<sup>68</sup>. Szef PiS przyznał, że ma świadomość co do problemów społecznych i gospodarczych, rzutujących na demografię, i chce je naprawiać. Jednocześnie obnażył swą bezsilność wobec kulturowych przyczyn kryzysu demograficznego: „Proszę spojrzeć: Warszawa jest bardzo bogata, a dzieci rodzi się niewiele. W dużej mierze to kwestia kulturowa. W moim pokoleniu młode kobiety uważały małżeństwo i dzieci za coś zupełnie oczywistego. W panów pokoleniu jest zupełnie inaczej. Możemy pomagać, ułatwiać, namawiać – ale kwestie mentalnościowe są trudne do przeskoczenia (...) Nie wiem, jak to zmienić i tu, uczciwie mówiąc, przyznaję się do bezradności”. Jednak po zgłębieniu zagadnienia indywidualizmu i pokrewnych mu wątków, ich wpływu na ambicje zawodowe, aspiracje życiowe, podejście do związków i zakładania rodziny, czy wreszcie decydowanie się na drugie albo trzecie dziecko, sprawa nie wydaje się już tak niejasna. A „kwestie mentalnościowe”? Przecież według rozlicznych badań w całej Unii Europejskiej kobiety chcą mieć dzieci, tak jak chciały ich matki, babki i prababki.

Kompleksowe podejście do kryzysu demograficznego powinno być rozpatrywane nie tylko pod podział na przyczyny techniczne (dotyczące mieszkalnictwa, rynku pracy czy opieki instytucjonalnej nad dziećmi) oraz kulturowe (odnoszące się głównie do indywidualizmu i jego skutków) i z uwzględnieniem ich graniczności – bo w końcu na późne zakładanie rodziny składa się i indywidualistyczny, egoistycznie pojmowany samorozwój i niestabilność zatrudnienia czy słaby dostęp do mieszkań dla młodych ludzi. Szeroko zakrojony i mądrze przygotowany program musi być rozpisany na lata i uwzględniać grupy, do których określone działania w jego ramach będą kierowane: osób młodych, dopiero łączących się w trwałe pary; ludzi dalej młodych, ale zwykle nieco starszych, zakładających już rodziny, stojących przed decyzją o pierwszym dziecku; par będących rodzicami jednego dziecka; rodziców dwójki bądź trójki dzieci; mieszkańców wsi; mieszkańców małych i średnich miast; mieszkańców dużych aglomeracji miejskich; osób uboższych i średniozamożnych. Nie można też pominąć w tym miejscu obywateli innych państw, czyli imigrantów.

\*\*\*

## Migracja do Unii Europejskiej

Kryzys migracyjny z 2015 roku rozbudzał emocje wielu Europejczyków z powodów humanitarnych i kulturowych, jak również historycznych oraz kwestii bezpieczeństwa. Dla pragmatycznych polityków i technokratów – z pewnością już od co najmniej dekady zdających sobie sprawę z damoklesowych mieczy demografii i pękających nici, na jakich zwisają nad ich państwami – było jasne, że jest to okazja, by otworzyć się na miliony ludzi przy jednoczesnym poparciu niemałej części mieszkańców kontynentu dla tego pomysłu, czujących potrzebę udzielenia schronienia uciekającym przed wojną czy wyzyskiem albo po prostu szukającym lepszego życia.

Szybko jednak okazało się, że kraje członkowskie Unii Europejskiej podzieliły się na te chętne przyjmowaniu przybyszów, na takie, które nie były z tego zadowolone, ale nie podnosiły twardego sprzeciwu, a wreszcie i te otwarcie blokujące sprowadzanie uchodźców i późniejsze relokowanie ich z bardziej obłożonych rejonów. Powstał chaos, a nawet w uznawanych za oazę porządku Niemczech czy w Szwecji<sup>69</sup> pracownicy socjalni i urzędnicy obsługujący domy uchodźców nie dawali sobie w wielu miejscach rady z zarządzaniem sytuacją, zwłaszcza w roku 2015 i 2016. Jednocześnie Hiszpania, Włochy czy Grecja – wciąż niepozbywane po kryzysie finansowym z 2008 roku i w których zapaść demograficzna dawała się coraz mocniej we znaki – będące wówczas bramami UE, stanowiły źródła dramatycznych doniesień o martwych ciałach wyrzucanych na brzeg, o konfliktach między imigrantami a lokalną ludnością, czy o złych warunkach sanitarnych, jakie panowały w obozach dla uchodźców.

Ksenofobiczne i rasistowskie nastroje kierowane przeciwko Afrykanom i Azjatom migrującym do Europy były rozbudowane odgórnie przez niektórych polityków i aktywistów, a gdy szybko okazało się, że mały, ale jednak odczuwalny i zauważalny odsetek nowych mieszkańców UE stanowią terroryści lub ich pomocnicy<sup>70</sup>, którzy wtopili się w tłum uchodźców, coraz większe masy zwykłych ludzi zaczęły być negatywnie nastawione do otwartej polityki migracyjnej. Z kolei dla zwolenników bezwarunkowego wsparcia każdy, kto przejawiał choćby szczątkowe wątpliwości co do czegokolwiek – procedur, wiarygodności statystyk, zarządzania – zostawał okrzyknięty faszystą i ofensywnie napiętnowany. W tamtym czasie wyrażenie wyważonej opinii lub wyartykułowanie swoich obaw bardzo często wiązało się ze ślepych oskarżeniami o chęć zabijania uchodźców z jednej strony albo o wspieranie islamistycznego terroryzmu z drugiej.

Taka szerokiej skali antagonizacja, która utrudniła przebrnięcie przez kryzys i ograniczyła prowadzenie wolnych i racjonalnych dyskusji, a w efekcie społeczne przepracowanie tematu i oswojenie się z nim (jak również osiągnięcie zrozumienia i konsensusu), była możliwa w znacznej mierze dzięki istnieniu mediów społecznościowych i była napędzana przez fabryki rosyjskich trolli, podobnie jak dezinformacja co do wydarzeń związanych z uchodźcami<sup>71</sup>. Polaryzację debaty i pomijanie merytoryki i faktografii w temacie wojen wymuszających ucieczkę ludności nakręcały też media, ciesząc się dzięki temu większym przywiązaniem widzów, słuchaczy i czytelników do prezentowanych na swoich łamach narracji i w efekcie do zwiększania oglądalności czy liczby subskrypcji<sup>72</sup>. Już przed przeczytaniem czy obejrzeniem materiałów, wiadomo było, czego się spodziewać po publicystach i komentatorach, zależnie od tego, dla jakiego medium pracowali: w prawicowych zarzucanie naiwności, wspieranie terroryzmu i antagonizowanie „na zewnątrz” przeciw uchodźcom, a w lewicowych i liberalnych prezentowanie wyższości moralnej, oskarżenia o nieprzyjmowanie większej liczby ludzi i antagonizowanie „do wewnątrz” przeciwko osobom niechętnym otwieraniu granic.

Pytanie, czy gdyby rządy europejskie oraz Komisja Europejska zyskały zdolność zapanowania nad migracją, regulowania jej i zarządzania nią – na tyle, na ile to możliwe – mogłaby stanowić ona realne narzędzie mitygacji kryzysu demograficznego? Co najmniej drugim, a być może nawet równorzędnym pytaniem jest też to o tożsamość religijną i kulturową oraz o obyczaje przybyszów, których pomimo najlepszych chęci nie da się zignorować, co dobitnie pokazuje względnie dobry stosunek mieszkańców starej Unii do obywateli z rozszerzenia w 2004 roku i późniejszych, w porównaniu do podejścia do migrantów z Afryki i Azji, czy choćby optymistyczne nastawienie Polaków do licznie osiedlających się w Polsce Białorusinów i Ukraińców<sup>73</sup> przy jednoczesnej niechęci do przyjmowania uchodźców z krajów islamskich. Polska, wraz z Litwą i

Słowacją, są też jednymi z tych krajów, w których w ostatnich latach akceptacja dla migrantów wyraźnie wzrosła<sup>74</sup>. O konfliktach między lokalnymi społecznościami europejskimi a nowymi mieszkańcami – dotyczących stosunku do dzieci, kobiet, gejów, roszczeniowego podejścia do zasiłków i opieki socjalnej, lekceważenia zwyczajów oraz prawa panującego w państwach europejskich – donosiły media austriackie, niemieckie, szwedzkie czy francuskie, po początkowym odgórnym wyciszaniu tych tematów, by nie wzmacniać nastrojów antyimigracyjnych. Z czasem coraz trudniej było je przemilczać, bo regularnie wybuchwały tu i tam, gdzie pojawiali się nowi uchodźcy. W reportażu „Moralisci”<sup>65</sup> bez popadania w przesadę uchwyciła je (w kontekście Szwecji) Katarzyna Tubylewicz, była polska *attaché* w Szwecji.

## Czy imigranci uratują Europę przed kryzysem demograficznym?

Migracja jest zjawiskiem występującym od zawsze, w przeciwieństwie do dużych społeczeństw, zawiązywanych w formie państw (czy konfederacji, jak w przypadku dzisiejszej Unii Europejskiej), w których funkcjonujemy, organizujemy się, które pozwalają uporządkować złożoność wielomilionowych interakcji między ludźmi (i sektorami ich działalności) na odmiennych płaszczyznach i umożliwiają wypracowanie dobrobytu.

Istnieją różne rodzaje migracji. Ta wewnątrzpaństwowa i regionalna – która też składa się na całość demograficznej kwestii Europy – wymaga osobnego omówienia. Tutaj chcę skupić się na międzykrajowej, międzykulturowej i międzyreligijnej migracji, odbywającej się często z krajów biedniejszych do bogatszych, z Azji i Afryki do Europy, z państw muzułmańskich do ponowoczesnych państw chrześcijańsko-laickich, a w przypadku Francji i innych narodów mających historię kolonialną, również z byłych kolonii. To głównie w takiej migracji nadzieje pokładają demograficzni optymiści.

Zasadniczo migracja prowadzi do napływu lub odpływu ludności z danego miejsca. Może mieć różne oblicza. Na przykład jeśli przybyszami są głównie młode osoby, odmładzają one wówczas demograficzną strukturę wiekową. Gdy większy udział wśród danej fali migracji mają mężczyźni, w miejscu docelowym zaburza się demograficzny rozkład płci w społeczeństwie, jak miało to miejsce za czasów kolonizacji obu Ameryk, kiedy zajmujące nowy kontynent grupy składały się głównie z mężczyzn, podobnie jak sprowadzane potem zbiorowiska niewolników, czy odwrotnie, w czasie II Wojny Światowej emigracja mężczyzn na front spowodowała ich niedobór w regularnym społeczeństwie. Kiedy z państwa biednego emigrują ludzie lepiej wykształceni, traci ono część swojego potencjału inteligenckiego na rzecz innego kraju, co określa się mianem demograficznego drenażu mózgów.

Z punktu widzenia dzisiejszej, wyludniającej się Europy, migracja do wszystkich państw członkowskich byłaby wysoce pożądana. Przejrzyste procedury przyznawania prawa do pobytu, dobrze zorganizowana praca urzędów do spraw cudzoziemców (kilka lat temu pomagałem załatwić różne formalności koledze z Indii i jego żonie, którzy przyjechali do Polski na studia doktoranckie; na długo zapamiętam chaos w krakowskim Urzędzie do Spraw Cudzoziemców, koczowanie na jego korytarzach i wokół budynku, pomaganie innym obcokrajowcom w wypełnianiu dokumentów podczas czekania w kolejce, przyjeżdżanie tylko po to, by pocałować maszynę, w której skończyły się numerki dla obywateli spoza UE na dany dzień), programy asymilacji językowej, nauka dla dzieci imigrantów, lokowanie rodzin w różnych miastach i dzielnicach, aby przeciwdziałać powstawaniu „gett” imigranckich, na rzecz ogólnospołecznej integracji. Do wszystkiego tego nowoczesny i sprawny aparat państwowy powinien podchodzić profesjonalnie nie tylko przez wzgląd na cechy, którymi zwykle się szyci, na budowanie nielekceważącego podejścia do przybyszów i na bezpieczeństwo, ale także z uwagi na świadomość, że w ten sposób mityguje się zapaść demograficzną.

Jak niemal każde działanie bądź zaniechanie, również otwieranie Unii Europejskiej na imigrację ma swoje plusy i minusy, a co za tym idzie – zwolenników i przeciwników. Korzyści są dość oczywiste i bezdyskusyjne: migranci zapełniają lukę demograficzną; stanowią siłę roboczą; ponieważ są zwykle ludźmi młodymi, to odmładzają społeczeństwo; poprzez mieszane związki z tubylcami zwiększają różnorodność genetyczną; wnoszą także świeżość społeczną i mogą wzbogacać kulturowo. Imigracja pomoże w łagodzeniu europejskiej katastrofy demograficznej, ale sama przed nią nie uratuje, bez zwiększenia dzietności wśród rodowitych Europejki. Dodatkowo, niemądrze organizowana i źle zarządzana, może narobić wiele bałaganu. Dlaczego?

Przede wszystkim trzeba mieć na uwadze fakt, który może zburzyć nastrój zwłaszcza demograficznym optymistom, kładącym swe nadzieje w imigracji, że nawet bardzo duże wzmoczenie migracji do UE nie uratuje kontynentu przed demograficzną zapaścią. Same tylko Niemcy „do 2050 roku będą potrzebować od 276 000 do 491 000 osób rocznie z krajów spoza UE”<sup>75</sup> – głosi raport z 2015 roku, a wtórował mu w sierpniu 2021 Detlef Scheele, prezes zarządu Federalnej Agencji Zatrudnienia i polityk SPD<sup>76</sup>. Dla członków starej Unii (sprzed rozszerzeń od 2004 roku) i Wielkiej Brytanii potrzeba by było dziesiątek milionów imigrantów, aby współczynnik obciążenia demograficznego (stosunek osób w wieku produkcyjnym względem niepełnoletnich i emerytów) nie pogarszał się do 2035 roku<sup>77</sup>. To samo dotyczy państw nowej Unii, adekwatnie do ich populacji i obecnej w nich zapaści demograficznej. Tymczasem w roku 2020 w UE pracowało 188,9 milionów osób, z czego 4,6% to byli imigranci spoza UE. Jednocześnie wśród ogółu Europejczyków w wieku produkcyjnym zatrudnionych było ponad 70% i niespełna 60% przybyszów spoza wspólnoty<sup>78</sup>.

Jedną z nowszych projekcji, opublikowaną w 2021 roku przez think tank „Center for Global Development”, wskazuje że dla Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii „całkowita liczba nowych migrantów do roku 2050 może wynieść 24,5 miliona”, w tym niespełna 7 milionów z Afryki<sup>79</sup> (co warto odnotować, autorzy zwracają też uwagę, że zwiększenie zatrudnienia wśród kobiet, podniesienie wieku emerytalnego i robotyzacja będą jedynie małymi podpórkami w odniesieniu do przeciwdziałania negatywnym skutkom ekonomicznym i społecznym europejskiej zmiany demograficznej). To za mało, by zażegnać kryzys demograficzny, a rozłożenie fal migracji po Europie też nie będzie równomierne. „Gdybyśmy imigrantami chcieli adresować wyzwania związane z niską dzietnością, musieliby oni osiedlać się głównie w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, krajach bałtyckich oraz basenu Morza Śródziemnego. Czyli między innymi w Polsce, Rumunii, Bułgarii, Litwie, Łotwie, Włoszech, Hiszpanii czy Grecji” – mówi Barbara Janta.

Kolejnym wyzwaniem jest kwestia przejmowania przez migrantów zachowań prokreacyjnych obecnych w krajach, w których się osiedlają. Zazwyczaj ich dzietność jest niższa niż w krajach, z których pochodzą. „W państwach postkolonialnych, takich jak Wielka Brytania, imigrantki zwykle nie mają tyle dzieci, ile miałyby w krajach swojego pochodzenia” – stwierdza badaczka, zaznaczając, że są jednak wyjątki, jak na przykład sytuacja obserwowana wśród Polek w Wielkiej Brytanii, których współczynnik dzietności jest wyższy niż w Polsce.

Jednak wygląda na to, że kluczowy problem z przyjmowaniem imigrantów leży zupełnie gdzie indziej: w tożsamości. Prawem europejskich tubylców jest, by móc ją zachować i pielęgnować, co przy masowej imigracji ludzi o zupełnie innych uwarunkowaniach kulturowych, jest kłopotliwe. Codzienne doświadczenia wielu osób, organizacji czy urzędów, zdobyte w ciągu minionej dekady, nie pozostawiają złudzeń i nie pozwalają zaprzeczyć istnieniu tej trudności.

## **Swojskość i tożsamość kulturowa główną przeszkodą przed imigracją?**

Powszechnie przytaczana narracja na temat niechęci do imigrantów (w tym uchodźców) spoza Unii Europejskiej, Ukrainy, Białorusi i Bałkanów mówi o ksenofobii i rasizmie przeciwników otwierania granic. Jednak Iwan Krastew i Sephen Holmes – autorzy książki „Światło, które zgasło” – przytaczają bardziej wnikliwą i zniuansowaną argumentację<sup>80</sup>, według której mieszkańcy zwłaszcza Europy Wschodniej i Środkowej (ale też ogólnie regionów zapomnianych czy zaniedbanych przez ludzi i organizacje wielkiego świata) martwią się o wyraźny niż demograficzny, który w połączeniu z emigracją swoich rodaków i falą imigracji pozaeuropejskiej może zagrażać ich ciągłości pokoleniowej i tożsamości kulturowej. „Ta obawa z kolei bierze się z raczej

niewypowiedzianego strachu przed ruiną demograficzną” – twierdzą, podając jak wielki był ubytek populacji państw postsowieckich od 1989 do 2017 roku.

Po okresie przemilczania napięć dotyczących uchodźców z czasu kryzysu migracyjnego UE (2015) o rozwadnianiu własnej tożsamości i wyobcowywaniu tubylców przez imigrantów – co prowadzi do destabilizacji społecznej i niechęci do obcych, w tym z Bliskiego i Dalekiego Wschodu – pisano nawet w najbardziej otwartych na imigrantów spoza Europy krajach. „Nie jest ksenofobią chcieć czuć się w swoim kraju jak w domu” – napisano w szwedzkiej gazecie „Svenska Dagbladet”<sup>81</sup>. „Taką samą sytuację spotykamy w Niemczech – w ciągu trzech dekad podwoiła się liczba mieszkańców, których rodzice nie byli obywatelami Niemiec. Poczucie, że imigrantów jest coraz więcej i że kraje zachodnie zmieniają się, nie jest złudzeniem frustratów, określonych w sławetnym wystąpieniu Obamy, wówczas kandydata na prezydenta, jako tych, którzy kurczowo trzymają się strzelby i religii”<sup>37</sup> – pisze Nadav Eyal.

Pomimo gospodarczo-demograficznych korzyści, jakie przynosi otwarcie się na imigrantów spoza Europy, przywódcy kolejnych państw Unii Europejskiej mniej lub bardziej subtelnie popierają politykę ograniczania liczby przyjmowanych przybyszów, budowania wysokich płotów na zewnętrznych granicach UE czy wysyłania w świat przekazu zniechęcającego do migrowania do starego kontynentu. O działaniach Węgier po wydarzeniach na dworcu Keleti w Budapeszcie<sup>82</sup> nie trzeba wiele opowiadać – do wszystkich zakątków Europy dotarł antyimigracyjny przekaz tamtejszego rządu. Jednak w ślad za Węgrami czy Polską poszły również inne państwa.

W Grecji stawiane są mury na granicy z Turcją<sup>83</sup> w obawie przed przybyszami z Afganistanu po tamtejszej porażce sił zachodnich. „Nie możemy i nie będziemy bramą Europy dla uchodźców i migrantów, którzy mogliby próbować przybyć do Unii Europejskiej” – zakomunikował grecki minister ds. migracji, Notis Mitarachi<sup>84</sup>. Premier Francji, Emmanuel Macron, ogłosił że musimy bronić się przed „większymi przyptykami nielegalnej migracji”<sup>85</sup>. Rządzona przez socjaldemokratów Szwecja w lipcu 2021 ustanowiła bardziej rygorystyczne wobec imigrantów (w tym uchodźców) prawo, utrudniające otrzymanie pozwolenia na pobyt stały w tym kraju<sup>86</sup>. Latem tego samego roku rząd belgijski zmagął się z kryzysem politycznym wywołanym głodowym strajkiem imigrantów, którym nie chciano sformalizować pobytu<sup>87</sup>. Premier Holandii, Mark Rutte, pod koniec sierpnia 2021 roku powiedział, że Afgańczycy nie mający związków z Niderlandami, nie powinni być przyjmowani do jego kraju<sup>88</sup>.

Nie sposób nie wspomnieć o sytuacji na łotewskiej, litewskiej i polskiej granicy Unii Europejskiej z Białorusią, gdzie w 2021 roku zwożeni byli migranci z Azji – również Iraku – i wykorzystywani przez dyktatora Aleksandra Łukaszenkę w „wojnie hybrydowej” przeciw wspólnotie (która wcześniej nałożyła na Białoruś sankcje za fałszowanie wyborów). W reakcji państwa graniczne zaczęły stawiać zasieki i wydzielać oddziały straży granicznej do kontrolowania sytuacji. Komisja Europejska i dyplomaci

poszczególnych państw wspierali stanowisko, że trzeba chronić zewnętrznych krańców UE przed nielegalną migracją i sąsiednim reżimem, jednocześnie zachowując się humanitarnie wobec przybyszów. Ylva Johansson, Komisarz ds. Wewnętrznych Unii, wprost stwierdziła, że „to, co widzimy ze strony Łukaszenki, to skrajny akt agresji wobec Unii Europejskiej”<sup>89</sup>.

Narracja o konieczności pełnego otwarcia przybiałoruskich granic UE dla imigrantów, która przed 2015 rokiem być może zyskała by na znaczeniu (wówczas organizowano nawet dość liczne manifestacje poparcia przyjmowania uchodźców z Syrii, od Madrytu, przez Paryż, Berlin i Warszawę, po Sztokholm), została odrzucona przez niemal wszystkie strony polityczne i ideologiczne, a protesty przeciw otwieraniu granic zyskiwały na znaczeniu nawet w bardzo liberalnej Holandii<sup>85</sup>.

Z imigracją wiąże się jeszcze jeden, rzadko dostrzegany problem etyczny. Otóż łatanie własnych dziur ludnościowych przez celowe sprowadzanie ludzi z innych państw, a w efekcie osłabianie ich macierzystych społeczeństw demograficznie, gospodarczo, intelektualnie – również poprzez drenaż mózgow, czyli pozyskiwanie lepiej wykształconych i wykształconych osób, ale także talentów artystycznych czy naukowych – jest postrzegane jako neokolonializm i nasuwa jednoznaczne (choć nie równoznaczne) skojarzenia ze sprowadzaniem do pracy niewolników w XIX wieku i wcześniej. Żeby więc przykładowa Monachijka, Paryżanka, Warszawianka, Kordobianka, Mediolanka, Wiedienka czy Brukselka – a w ślad za nimi ich partnerzy, rzeczywiści lub potencjalni – mogła być bezdzielna, społeczeństwo w którym żyje, musi czerpać demograficznie z innych społeczności. Konstatacja ta obowiązuje niezależnie od oburzenia, jakie może wywołać w indywidualistycznym społeczeństwie.

„Ściągamy do siebie na przykład lekarzy, ale już nie ich pacjentów, a więc tworzymy zapaść w miejscowym systemie ochrony zdrowia” – stwierdza Maksym Sijer, ekspert od bezpieczeństwa informacyjnego z Uniwersytetu Warszawskiego. „Sprowadzamy młode, ambitne, wykształcone osoby, więc kto ma rozwijać te biedniejsze kraje i regiony? Przenoszenie produkcji, przemysłu w takie miejsca, aby pracowali, wydobywali, szyli, składali, recyklingowali dla nas ludzie z tzw. biednego Południa doprowadza do konkurencji między krajami bogatymi i biedniejszymi, co znowu osłabia poprawę sytuacji tych ostatnich” – zauważa. „Gdyby zaprzestać tego procederu, wprowadzić w rozwijających się krajach podstawowe, godne warunki, prawo pracy, płace minimalne, zakaz pracy dzieci, ochronę mieszkańców, system emerytalny, którego brak jest jedną z przyczyn rodzenia kilku-kilkunastu dzieci na kobietę, sytuacja zaczęłaby się poprawiać wyraźniej i bardziej sprawiedliwie. Mówiąc wprost Europejczycy powinni zerwać z neokolonializmem demograficznym i przemysłowym, pozwolić biedniejszym regionom na ich równomierny rozwój, a swoje luki dietnościowe, przemysłowe czy składowania odpadów rozwiązywać u siebie”.



Demograficzny wyzysk nie dotyczy tylko zwykłych imigrantów, lecz również ludzi z ziem dotkniętych klęskami głodu, zarazy czy wojny – czyli także uchodźców. Jak zauważa dziennikarz wojenny, Witold Repetowicz w portalu „Defence24”, odnosząc się do konfliktu syryjskiego: „ci którzy migrowali do Europy nie byli bowiem najbardziej potrzebującymi, najuboższymi, lecz w dużej mierze najbardziej niezbędnymi na miejscu. Przykładem tego jest historia z Serekanie (płn. Syria), miasta od pocz. 2015 r. nie objętego działaniami wojennymi. W tymże roku z miejscowego szpitala do Niemiec wyjechał jeden z dwóch chirurgów. Gdyby wyjechał również drugi to byłby to wyrok śmierci lub kalectwa dla wielu innych, którzy byli za biedni i zbyt niepotrzebni z punktu widzenia niemieckiego rynku pracy, by dostać się do Europy”<sup>90</sup>.

Niestety, konsekwencje zakończenia neokolonializmu demograficznego czy przemysłowego przez kraje bogatej Północy mogłyby być ciężkie do przełknięcia dla osób preferujących konsumpcjonistyczny styl życia, czyli dla wielu zwykłych ludzi z krajów europejskich. „Ceny podstawowych produktów, od kawy, herbaty, po ubrania czy elektronikę poszybowały by w górę i musielibyśmy za to zapłacić. Przede wszystkim międzynarodowe korporacje, ale też państwa i pojedynczy obywatele. A na to chyba nikt nie jest się gotów zgodzić, bo oznaczałoby to koniec ery konsumpcjonizmu i wymusiłoby przestawienie modelu gospodarczego, zastąpienie PKB innym współczynnikiem, uwzględniającym nie tylko finanse, ale też rozwój społeczny, demograficzny i ochronę środowiska. Jednak realizacja takich zmian byłaby ciężką pracą i wyzwaniem. A że jest to coś, czego nie lubimy, podobnie jak planowanie na dekadę, dwie, trzy czy cztery do przodu, to różne organizacje i politycy wyskakują z licznymi dziwnymi pomysłami i postulatami, od eugeniki, przez antynatalizm, na wojnach skończywszy” – wyjaśnia dalej Sijer i dodaje na koniec: „Na marginesie, postulat o odejściu od dzietności na poziomie zastępowalności pokoleń w krajach rozwiniętych na rzecz rzekomego ratowania środowiska skutkuje tym, że ściągamy do siebie ludzi z biednego Południa, co wyhamowuje w nich rozwój i napędza w nich dzietność powyżej progu zastępowalności pokoleniowej. Taki paradoks”.

Bezskrytyczne przyjmowanie imigrantów, szczególnie odległych kulturowo, obyczajowo czy religijnie od tubylców prowadzi do napięć społecznych, wyobcowania w swoim kraju, poczucia utraty tożsamości i ciągłości. Przeszczep nie przyjmie się, jeśli różnice między dawcą a biorcą są zbyt duże. W efekcie wzrasta poparcie dla radykałów nacjonalistycznych – często bezwzględnie przeciwnych imigracji, niezależnie od okoliczności – którzy mają niebezpieczne wizje rządzenia państwami w innych sektorach życia publicznego. Oskarżanie buntujących się warstw społeczeństwa czy rządów o rasizm i ksenofobię bez zrozumienia sedna niechęci, nakręca tylko problemy, niczego nie rozwiązując. Zrozumienie tych mechanizmów zajęło europejskim elitom politycznym, intelektualnym oraz medialnym kilka lat, podobnie jak dojście do wniosku, że rozwodnienie tożsamościowe Europy, niezadowolenie społeczne i destabilizacja polityczna to koszty, na jakie Unia Europejska nie może sobie pozwolić. Z drugiej strony

traktowanie imigrantów jako neokolonialnego „towaru” demograficznego jest działaniem na niekorzyść ich własnych ojczyzn, społeczności z których pochodzą, ich rodzin. Dlatego też imigracja musi być sprawnie i sprawiedliwie regulowana, a to prowadzi do spostrzeżenia, że choć pomoże w walce z kryzysem demograficznym, to kluczowe w rozwiązywaniu tego problemu będzie poleganie na dietności swoich obywateli, a nie cudzych.

## Jak zwiększyć dietność w czasie zapaści demograficznej?

Jak zatem zwiększyć dietność w Europie? Skoro chęci nie brak – luka dietnościowa wyraźnie świadczy o tym, że Europejki chcą mieć 2 lub 3 dzieci – to czego? Zależnie od kraju, niedostatki mogą przybierać różną skalę i dotyczyć innych kwestii, jednak zasadniczo można je podzielić na techniczne i kulturowe, a przyjrzenie się uważnie wcześniej zanalizowanym przyczynom niskiej dietności pozwala dojść do wniosków ukazujących pożądane rozwiązania demograficzne.

Polityka prorodzinna powinna zaczynać się od polityki zatrudnienia. Wypychanie ludzi na umowy śmieciowe, nie zapewniające godnego, stabilnego i długotrwałego – najlepiej w czasie nieokreślonym – zarobku i ubezpieczeń społecznych to coś, od czego powinno się radykalnie odchodzić nie tylko z uwagi na zwykłą, ludzką przyzwoitość stosunków pracy, ale też ze względu na kryzys demograficzny. Pracodawcy, o ile dany charakter pracy to umożliwia, powinni być też bardziej otwarci na elastyczność. Warto podkreślić, że elastyczność ta – o której mowa była w rozmowie z Barbarą Jantą – dotyczy właśnie organizacji czasu pracy, a nie form zatrudnienia, bo posługując się skrótami myślowymi można by popaść w nieporozumienie i dojść tutaj do zupełnie odwrotnych, a tym samym szkodliwych demograficznie wniosków. Niech potencjalni czy młodzi rodzice wiedzą, że w razie czego mogą zacząć pracę godzinę później albo zrobić sobie dwugodzinną przerwę, odrabiając ten czas kiedy indziej, bo to, wraz z pewnością, że ma się pracę i że nie straci się jej za pół roku, rok, za dwa albo za trzy czy cztery, gigantycznie poprawia perspektywę na posiadanie dzieci.

Komisja Europejska i rządy państw członkowskich muszą też przeciwdziałać dyskryminacji kobiet na rynku pracy, by praktyki subtelnego dowiadywania się przez pracodawcę, czy rekrutantka planuje mieć dzieci – i tym samym przerwę na urlopie macierzyńskim – zostały ukrócone. Istnieje również potrzeba, aby praca mężczyzn w sytuacji, gdy zostają pierwszy lub kolejny raz ojcami, była chroniona. Jednak stałość zatrudnienia i elastyczność jego organizacji to nie wszystko. Za potrzebami musi iść wysokość zarobków. Nie mogą one rosnąć zbyt wolno lub stać w miejscu, bo inflacja krok po kroku, posuwając się do przodu, z czasem zmniejsza realną wartość otrzymywanych pensji. Z czasem, z którym powinno przecież przybywać kolejnych

dzieci – drugich, trzecich, czwartych na rodzinę – i tym samym pieniędzy na ich utrzymywanie.

Okiełznanie rynków nieruchomości, wyslizgujących się w wielu miejscach spod demokratycznej kontroli instytucji państwowych, to następny niezbędny krok do naprawienia sytuacji demograficznej. Jeżeli mieszkania są horrendalnie drogie – jak ma to miejsce w dużych metropoliach – albo ich brakuje – z czym zmagają się rodziny w mniejszych miejscowościach – a do tego brak mieszkań na regulowany przez samorządy, pewny, stabilny i niedrogi wynajem długoterminowy (na dekady, tak aby człowiek miał poczucie, że jest „na stałe”), to trudno o planowanie przez pary zakładania rodziny. Zwłaszcza w mocno indywidualistycznym społeczeństwie, w którym odchodzi się od gospodarstw i rodzin wielopokoleniowych na rzecz tzw. rodzin nuklearnych, czyli z wspólnym zamieszkiwaniem przez rodziców i ich dzieci, ale bez dziadków.

Nie można też zapominać o instytucjonalnej opiece nad dziećmi, bo ona także składa się na stabilność potrzebną rodzicom do zajmowania się dziećmi i planowania kolejnych. Stąd następnym składnikiem recepty przeciwko wyludnianiu jest zwiększanie dostępności do żłobków i przedszkoli lub opiekunek nad dziećmi. Nie mogą być to usługi drogie – sami bogaci i elity zapaści demograficznej nie zasypią. Publiczny system jednostek opiekuńczych oraz częściowa, ale powszechna refundacja tych prywatnych, jak również promowanie otwierania przedszkoli przyzakładowych czy przyuczelnianych, także powinny zwiększyć wskaźnik dzietności.

Ponieważ oczekiwania ludzi są większe niż kiedyś, a wizję zwiedzania świata w dzisiejszych czasach trudno już uznawać za coś ekskluzywnego, przy taniości podróży różnymi środkami komunikacji na odległe dystanse, warte uwagi są też pomysły zaspokajające tę potrzebę u rodziców, takie jak środki na wakacje dla dzieci lub z dziećmi. Niechęć do posiadania potomstwa, bo trudniej przy nim zebrać pieniądze na spełnianie pasji, mogłaby być w ten sposób częściowo niwelowana. Samo podróżowanie może się też okazać dobrą okazją do sprowadzenia na świat nowego dziecka. W roku 2014 głośno było o kampanii reklamowej biura podróży „Spies Travel” w Danii, które pod hasłem „Zrób to dla Danii”, przekonywało do uprawiania seksu i robienia dzieci na wakacjach. „Rodzi się za mało dzieci, które wspierałyby starzejącą się populację. Problemu nie zdołał rozwiązać duński parlament, ale musi być jakieś rozwiązanie” – przekonuje reklama<sup>91</sup>.

W wielu krajach dodatkowym rozwiązaniem jest także tzw. podatek bykowy (określany też jako bykowe), czyli solidarnościowa opłata od bycia singlem, obowiązująca choćby w

Niemczech. „Jest wiele argumentów za bykowym” – pisze polsko-niemiecka dziennikarka, Adriana Rozwadowska<sup>92</sup>. Nietrudno bowiem zauważyć, że opieka nad dziećmi jest czasochłonna i kosztowna, więc osoby, które nie ponoszą tych kosztów, powinny dokładać się w inny sposób na rzecz sprawniejszego funkcjonowania społeczeństwa. Ponadto same dzieci w przyszłości też będą płatnikami składek, co bezpośrednio zwiększa wkład rodziców. W Niemczech przy podnoszeniu bykowego w 2021 argumentowano o potrzebie podniesienia wynagrodzeń w zawodach opiekuńczych i medycznych, np. wśród pielęgniarek z domów opieki. Choć rzecz należy do niemieckiego Ministerstwa pracy, to ideę popierał także Minister Zdrowia, Jens Spahn<sup>93</sup>. Zebrane dzięki takiej daninie fundusze mogą być wykorzystane na cele społeczne – w tym prorodzinne. Sam fakt, że nie będąc w małżeństwie płaci się większy podatek może być jednym z bodźców zachęcających do zakładania rodziny. Ten i inne sposoby wzmacniania instytucji małżeństwa, to kolejna część pro-dietnościowej układanki. Szczególnie, że „dla kobiet ważne jest także to, czy są mężatkami. Małżeństwo ułatwia podjęcie decyzji o dziecku, a życie w związku nieformalnym utrudnia” – jak zauważa Małgorzata Sikorska w opracowaniu „Czy zwiększenie dzietności w Polsce jest możliwe?”<sup>94</sup>.

Z kolei na Węgrzech w roku 2019 zapowiedziano bezpłatny program zapłodnienia *in vitro* w upaństwowionych przez Viktora Orbana klinikach leczenia niepłodności<sup>95</sup> i wprowadzono go w 2020 roku. Może się wydawać, że zwiększanie liczby narodzin w ten sposób ma niewielki wpływ na ogólną rozrodczość, ale tak naprawdę każdy czynnik oceniany z osobna, w oderwaniu od pozostałych, będzie miał stosunkowo nieduże znaczenie, a przy obecnym, katastrofalnie niskim europejskim wskaźniku dzietności wszystkie, choćby minimalnie podnoszące dzietność rozwiązania są czymś pożądanym. Podobnie jak finansowanie badań naukowych zajmujących się płodnością i dzietnością, tak w kontekście biologicznym, jak i socjologicznym.

## Aspekty kulturowe

A co z kwestiami kulturowymi i „mentalnościowymi” – jak określił to Jarosław Kaczyński? Indywidualistyczna wizja spełnienia życiowego, objawiająca się w skupianiu się głównie na sobie, egoistycznym podejściu do samorozwoju, robieniu kariery kosztem relacji z bliskimi i zakładania rodziny, przeznaczaniem pieniędzy na hedonistyczne przyjemności, konsumpcjonistyczne traktowanie innych ludzi czy spędzania czasu, mogą być niwelowane, a nawet wypierane, na rzecz bardziej prospołecznych i wspólnotowych rozwiązań. W kontekście demografii niech będzie to na przykład promowanie metodami miękkimi i prawnymi sąsiedzkości: zatrudnianie dozorców osiedli z tychże osiedli przez wspólnoty i spółdzielnie, zamiast outsourcingowych pracowników sprzątających i ogrodniczych, ograniczanie gromadzenia budynków czy ich kompleksów płotami, organizowanie lokalnych, osiedlowych festynów itp. Wystarczy, że sąsiedzi lepiej się poznają i nawiążą przyjazne relacje, a

może się okazać, że chociaż w jednym dniu tygodnia dodatkowa opieka nad dzieckiem przestanie być konieczna, bo będzie mogło zostać z dziećmi sąsiada, kiedy akurat ten i tak jest w domu lub okolicy.

Jednak w odniesieniu do kulturowego aspektu problemu kluczowa, oprócz balansu na socjologicznym spektrum indywidualizmu i kolektywizmu, może być wizja rodzicielstwa w popkulturze, powszechne postrzeganie roli matki czy ojca. Odczarowanie stereotypu małżeństwa i posiadania dzieci, jako czegoś męczącego, nieprzyjemnego, przeszkadzającego w rozwijaniu swoich pasji i poznawaniu własnej osobowości. Tak, aby priorytety przesunęły się w swym spektrum na bardziej prospołeczne i prorodzinne, kosztem konsumpcjonistycznego i hedonistycznego stylu życia (z korzyścią nie tylko dla demografii, ale i dla środowiska).

Dlaczego na przykład nie przyznać i nie uwydatnić oczywistego faktu, że zostanie rodzicem i wzięcie odpowiedzialności za dziecko i partnera czy partnerkę, to także element samorozwoju, znacznie istotniejszy od wyjazdu na koncert, wycieczki na inny kontynent, stołowania w drogich restauracjach czy poświęcania czasu na rozrywki w Internecie? Zostanie rodzicem to także korzystanie z życia. Można też dostrzec, że realizowanie tego wszystkiego z udziałem dzieci, choć trudniejsze finansowo czy logistycznie (ale też niekoniecznie, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie „techniczne” aspekty poprawiania sytuacji demograficznej), może okazać się samo w sobie bardziej wartościowe. „Wymagania dyktowane przez dominujący obecnie nurt intensywnego macierzyństwa w połączeniu z częstą izolacją rodziców i brakiem wsparcia też nie są raczej ułatwieniem na drodze do poczucia spełnienia. Z drugiej strony mimo pośpiechu, stresu, poczucia utraty niezależności, dla wielu rodziców – w tym dla mnie – obserwowanie jak na naszych oczach kształtuje się człowiek jest niesamowicie satysfakcjonujące i daje szczęście. Gdy dzieci są starsze, gdy przychodzą porozmawiać, mają swoje własne refleksje i wizje – to jest coś co nawet trudno opisać słowami” – mówi mi Alicja Kost, od lat pisząca o macierzyństwie w Internecie<sup>96</sup>, przekonując że zostanie rodzicem to także korzystanie z życia.

Przestawienie priorytetów z popkulturowych wyobrażeń o doświadczaniu życia mogło by przynieść oczekiwany skutek, ponieważ chcieć mieć dzieci to jedno, ale traktować ten cel jako ważniejszy lub równoważny karierze czy podróżowaniu po świecie – a nie podrzędny, schodzący na dalszy plan – całkowicie, zmienia „układ sił” w dążeniach i pragnieniach.

Podczas przygotowywania niniejszego tekstu dostałem pytanie, czy programy rozrywkowe i seriale – takie jak „Rodzinka.pl” – pokazując duże rodziny w dobrym świetle, mogą przyczynić się do popularyzowania chęci posiadania większej liczby dzieci i w efekcie do zwiększenia dzietności. Później to ja skierowałem się z nim do semiotyka kultury, Marcina Napiórkowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. „Niestety nie znam badań, które by potwierdzały relację przyczynowo-skutkową między modelami prezentowanymi w polskich serialach, a decyzjami o posiadaniu określonej liczby dzieci” – rozpoczyna naukowiec. „Ale jest kilka takich opracowań z USA, zwłaszcza dla okresu powojennego, gdzie faktycznie programy telewizyjne i, co ciekawe, sama praktyka wspólnego oglądania telewizji, uważane są za istotny czynnik kształtujący model rodziny” – wyjaśnia i podsumowuje: „Wiemy, że seriale mają wpływ na przykład na imiona nadawane dzieciom, więc z pewnością serialowe rodziny w jakiś sposób nas inspirują”.

Na pewne zmiany kulturowe można spojrzeć także na poziomie językowym. Utarty zwrot o „kurze domowej”, pogardliwie odnoszący się do matek poświęcających się rodzinie oraz o „mięczakach”, czyli mężczyznach zajmujących się swoimi dziećmi z większym zaangażowaniem, mogłyby zostać wyparte, wymienione. „Nasza kultura promuje takie wartości, jak osiągnięcia, sukcesy i wiedza w sporcie czy biznesie, a zdecydowanie mniej ceni aspekty relacyjne oraz emocjonalne. W efekcie uproszczony, ogólny stereotyp jest taki, że zajmowanie się relacjami – w tym wychowywanie dzieci – jest mniej wartościowe od osiągania wyników. Z tego biorą się krzywdzące i umniejszające wartość osoby oceny: kury domowej lub mięczaka” – odpowiada zapytana przeze mnie o ten aspekt Marta Kochan-Wójcik, zajmująca się zawodowo psychologią kliniczną oraz psychoterapią. „Myślę, że u wielu osób może to wywoływać konflikt wewnętrzny, skutkujący raczej odwlekaniem decyzji o rodzicielstwie, aby najpierw osiągnąć sukces i wynikającą z niego społeczną stabilizację”.

Ostatecznie, dobrze jest też postanowić na uczenie zwykłej, ludzkiej uprzejmości. Memy wyśmiewające rodziców z dziećmi – zwłaszcza matki – wciąż okrążają Internet, co jest szkodliwe nie tylko w odniesieniu do wyobrażeń o rodzicielstwie, stawiając je w złym świetle, lecz również norm zachowania wobec innych. „Rodzic z dzieckiem co najmniej do pierwszego roku życia z trudem porusza się po mieście, ponieważ musi liczyć się z tym, że jego maluch w każdej chwili może wymagać przewinięcia pieluszki, nakarmienia lub innych podstawowych rzeczy. Wyjście z domu, gdzie nie ma jak przewinąć dziecka lub nakarmić go piersią w normalnych warunkach to dla matki koszmar logistyczny” – podkreśla mi Marta Trzeciak, mama dwóch córek, której dzięki zaangażowaniu męża i wsparciu otaczającej siatki społecznej, udało się połączyć studia weterynaryjne, pracę dziennikarską i rodzicielstwo. „Wyobraź to sobie. Jest listopad, zimno, jesteś w centrum miasta, a Twoje dziecko właśnie się wypróżniło i zrobiło się bardzo głodne. Nie masz gdzie go porozwijać z tych wszystkich kombinezonów, nie masz gdzie przysiąść w spokoju i go nakarmić” – rozwija i dodaje: „A potem są śmieszki

heheszki, że Katarzyny i Janusze z bombelkami po galeriach handlowych chodzą. Tak, a wiesz, dlaczego oni tam chodzą? Bo wiedzą, że w każdej chwili będą mogli pójść do pomieszczenia, w którym są warunki do przewinięcia czy nakarmienia dziecka. W parkach, na placach zabaw, w centrach miast tego nie znajdą” – zauważa skupiające się w tym problemie kwestie nie tylko obyczajowości, ale i infrastruktury miejsc publicznych, nieprzyjaznej rodzicom. „Jako społeczność ogarnęliśmy już, że dorosłym trzeba czasem postawić toaletę w centrum, bo inaczej pójdą w krzaki. Niestety, 3-miesięczne dziecko nie skorzysta z toalety, a rodzic nie może i nie powinien siedzieć cały dzień w domu lub 5 metrów od domu w oczekiwaniu na to, czy nie trzeba będzie z maluchem szybko wracać. Psychika rodziców to również psychika ludzka. Oni potrzebują kontaktów społecznych, zmiany otoczenia, bodźców” – kończy.

\*\*\*

## Czy dzieci dają szczęście?

Rozmnażanie jest jednym z podstawowych atrybutów życia. Posiadanie dzieci – z perspektywy biologiczno-genetycznej – to przedłużanie swojego istnienia. Ta międzypokoleniowa ciągłość działa niezależnie od indywidualnego, neurobiologiczno-psychologicznego bycia, które wedle współczesnej wiedzy, musi się skończyć po śmierci mózgu. Choć najlepszym sposobem na zapewnienie sobie biologicznej „nieśmiertelności” – a przynajmniej dania szansy na istnienie za wiek, dwa, czy pięć – jest sprowadzenie na świat własnego potomstwa, to im bliższe pokrewieństwo, tym większy wspólny udział materiału genetycznego. Dlatego, wedle tego spojrzenia, na wydłużenie Twojej międzypokoleniowej ciągłości biologicznej „pracują” także Twoje siostry i bracia czy bliskie kuzynostwo, zwiększając jej zasięg wraz z każdym kolejnym dzieckiem. Ale czy, wracając do wyłącznie jednostkowej, neurobiologiczno-psychologicznej perspektywy Twojego własnego „ja”, posiadanie dzieci może nieść jakieś korzyści we współczesnym świecie zachodnim, w którym nie potrzeba co najmniej kilkorga dodatkowych rąk do orania pola, zbierania plonów, uzdatniania wody, ręcznego sprzątania i prania, gotowania wszystkiego z podstawowych, wymagających wstępnej obróbki produktów bez użycia maszyn takich jak blender, mikser czy kuchenka? Wychowywanie dzieci samo w sobie jest niewątpliwie czasochłonne i może wiązać się z regularnym narażeniem na stres.

## Czy dzieci zwiększają poczucie szczęścia i satysfakcję z małżeństwa?

Psychologowie społeczni, którzy w 2021 roku opublikowali w czasopiśmie naukowym „PLoS ONE” wyniki międzynarodowego badania na temat poczucia szczęścia i satysfakcji małżeńskiej w kontekście posiadania dzieci, tak opisali dotychczasowe

wnioski i brak możliwości dojścia do konsensusu: „Niektóre badania wykazały negatywny związek (...): rodzicielstwo wiązało się z obniżoną jakością małżeństwa, nasileniem konfliktów małżeńskich, cięższymi objawami depresji i zmniejszoną satysfakcją małżeńską. Inne badania sugerowały pozytywny wpływ lub brak związku między liczbą dzieci a satysfakcją małżeńską. Na przykład Yu i współautorzy przeanalizowali imponująco duży zbiór danych od 72 668 dorosłych i odkryli, że bycie rodzicem było dodatnio związane z lepszym samopoczuciem (...). Ponadto Kohler i inni dostarczyli dowodów, że pierwsze dziecko zwiększa ogólne szczęście zarówno wśród mężczyzn, jak i jeszcze bardziej wśród kobiet (...). Wydawało się, że metaanaliza przeprowadzona przez Twenge i współpracowników może przynieść ostateczne rozstrzygnięcie: autorzy sugerowali, że większa liczba dzieci w rodzinie obniża poziom satysfakcji małżeńskiej. Jednak nowsze badania ponownie pokazały różne kierunki tego związku, zwłaszcza w krajach niezachodnich”<sup>97</sup>.

Okazuje się bowiem, że „kryteria satysfakcjonującego małżeństwa mogą się różnić i zależeć od szerszego kontekstu kulturowego, na przykład tego, czy społeczeństwo promuje bardziej kolektywistyczne czy indywidualistyczne wartości”. Poczucie szczęścia w odniesieniu do bycia rodzicem i posiadania dzieci ma więc wielopoziomową złożoność, zależną od płci, kultury, religii, a według niektórych analiz także poziomu wykształcenia i wysokości zarobków. Jak zauważają dalej autorzy pracy, „jeśli jednostki wyznają normy kolektywistyczne, są bardziej skoncentrowane na wzajemnej pomocy, lojalności i współpracy w relacjach wewnątrzgrupowych, a także z powodu preferowania bardziej grupowych niż indywidualistycznych potrzeb i uzyskania pomocy od krewnych wychowujących dzieci, ten sposób życia może zwiększać ich satysfakcję małżeńską”.

Uzasadniając swoje badanie, twierdzą że „ze względu na to, że większość krajów zachodnich jest skrajnie indywidualistyczna, chcieliśmy zbadać związek między satysfakcją małżeńską a liczbą dzieci również w kulturach niezachodnich i kolektywistycznych”. Okazało się – a badanie przeprowadzono na ponad 7 tysiącach osób z 33 krajów i terytoriów zależnych – że „satysfakcja małżeńska zależy bardziej od indywidualnych cech niż wartości promowanych w kraju. Jednocześnie związek między satysfakcją małżeńską a liczbą dzieci różni się znacznie w poszczególnych państwach, co wymaga dalszych badań”. Naukowcy zaobserwowali również, że jeśli większa liczba dzieci wiązała się z obniżeniem satysfakcji małżeńskiej, to tylko wśród kobiet<sup>96</sup>.

– Jak zrozumiałem z Waszej publikacji, istnieją różnice w poczuciu szczęścia i satysfakcji małżeńskiej w kontekście posiadania dzieci, zależne od państwa, kultury czy religii. Czy nie sądzisz, że wpływ ma tutaj samo wartościowanie rodzicielstwa? Że w krajach, gdzie robienie kariery i stawianie na indywidualizm, rodzicielstwo daje słabsze poczucie szczęścia i spełnienia nie z przyczyn *stricte* biologiczno-psychologicznych, tylko oczekiwań kulturowych? – zapytałem współautorkę cytowanego badania. „Słuszne spostrzeżenie. Faktycznie, jednym z istotnych elementów jest środowisko, w jakim się wychowujemy i w jakim żyjemy. Ale zależności między poczuciem szczęścia a



stawetnym indywidualizmem, najczęściej rozumianym według definicji Hofstede, nie są tak oczywiste” – odpowiada Marta Kowal. „Czy w kraju indywidualistycznym, gdzie, tak jak wspominałeś, każdy stereotypowo stawia na samorozwój i karierę, akceptowane a nawet pożądane jest dążenie do realizowania własnych potrzeb, ludzie będą mniej zadowoleni niż w kraju kolektywistycznym, gdzie wspierana jest wizja rodziny, w której liczymy się „my” a nie „ja”? Gdzie należy cieszyć się radością bliższych bardziej niż swoją? Nic bardziej mylnego!” – dodaje. „Nasze badanie dostarczyło dowodów na to, że im większy indywidualizm, mierzony na poziomie krajowym, tym wyższa satysfakcja małżeńska. A związek indywidualizmu z liczbą dzieci nie okazał się istotnie różnicujący. Z kolei inne nasze badanie, w którym porównywaliśmy poczucie szczęścia Polaków i członków łowiecko-zbierackiego plemienia Hadza z Afryki dostarczyło dowodów, że Hadza są szczęśliwsi od Polaków” – komplikuje sprawę badaczka i pyta: „I gdzie leży prawda? A może poczucie szczęścia nie daje się tak łatwo uchwycić i potrzeba nam dalszych badań, żeby wyciągnąć rzetelne konkluzje”.

Szczęście czy satysfakcja z życia, małżeństwa lub wychowywania dzieci, jest rzeczą bardzo subiektywną i porównywanie wyników między różnymi krajami, społecznościami, a nawet rodzinami i osobami, może okazać się po prostu błędnym podejściem metodologicznym. Tłumaczyłoby to tak sprzeczne wyniki, jakie dotychczas uzyskują naukowcy z różnych stron świata, zajmujący się tym zagadnieniem.

„Niestety, większość badań nad poczuciem szczęścia i satysfakcji małżeńskiej to badania przekrojowe, a nie longitudinalne, co oznacza, że są to badania, w których sprawdza się interesującą nas zmienną jednokrotnym pomiarem, w jednym momencie czasowym. Ogromnym plusem takiej metodologii jest łatwość wykonania, minusem zaś, że wiele czynników może wpływać na uzyskiwane wyniki” – mówi Marta Kowal. „Najprościej można to sobie wyobrazić na własnym przykładzie. Jak wstaję z samego rana, to jaki mam humor? A jaki, gdy wstaję rano do pracy w poniedziałek? A jaki w piątek po południu, mając wizję przyjemnego weekendu? A może akurat dostałam podwyżkę w pracy, dzień wcześniej? Albo pokłóciłam się z koleżanką? Albo moje dziecko się nie wyspało i od rana jest nie w humorze? A może przyniosło szóstkę ze szkoły i chwale się tym swojej mamie? Albo świeci słońce i jest ładnie, a może akurat pada deszcz? Wiele czynników wpływa na deklarowany stan emocjonalny”.

– Da się takie poczucie szczęścia jakoś racjonalnie sumować? Przykładowo, czy codzienne odrobinę mniejsze szczęście wynikające z ograniczeń czasu wolnego na rzecz wychowywania dzieci może być niwelowane przez ogromne szczęście z chwil, kiedy dziecko np. uczy się czegoś, osiąga coś albo ma już własne dzieci, czyli wnuki badanych? Czy da się to w ogóle uwzględnić w badaniach? – dopytuję.

„Faktycznie, pozostaje też filozoficzne rozważanie, czym tak naprawdę jest poczucie szczęścia. Czy to brak odczuwania nieszczęścia? A może jednak ilość poczucia ekstremalnego szczęścia? Wszystko zależy od tego, jak to ujmemy i kiedy zapytamy

kogoś, czy jest szczęśliwy. Uogólniając, mamy tendencję do bardziej negatywnego oceniania negatywnych wydarzeń niż pozytywnego oceniania pozytywnych wydarzeń. Wielkie chwile szczęścia są krótkie i szybko przemijają, a o średniej jakości naszej życiowej satysfakcji bardziej mogą decydować codzienne utrapienia i radości” – kończy psycholożka społeczna z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Podobnie, brak jasnego konsensusu w tej sprawie dotyczy nie tylko posiadania dzieci *per se*, lecz również, podkreślając, w odniesieniu do ich liczby. „Biorąc pod uwagę liczbę dzieci, związek między satysfakcją z życia a rodzicielstwem staje się jeszcze bardziej skomplikowany. Niektórzy naukowcy wykazali, że posiadanie większej liczby dzieci pozytywnie wpływa na satysfakcję z życia rodziców, podczas gdy inni, na podstawie indywidualnych danych z całego świata, potwierdzili odwrotny wynik. Udowodnili też, że jest to istotne dla trójki dzieci, a przy kolejnych spadku satysfakcji nie było. Z kolei analiza danych z Niemieckiego Panelu Społeczno-Ekonomicznego, potwierdziła negatywny związek między liczbą dzieci i satysfakcją z życia rodziców tylko przy pierwszym dziecku, a Myrskylä i Margolis analizując brytyjskie zbiory danych longitudinalnych wskazują, że dwoje pierwszych dzieci poprawia subiektywne samopoczucie rodziców” – mówi psycholożka i psychoterapeutka, Marta Kochan-Wójcik.

Jednocześnie, z perspektywy całej rodziny, a nie tylko jednostek wchodzących w jej skład, badania pokazują, że „wraz ze wzrostem liczby potomstwa rodzice inwestują coraz więcej czasu i wysiłku w opiekę nad dziećmi”. Prowadzić to ma do zwiększenia przywiązania i stabilizacji, a w konsekwencji może być barierą do opuszczania małżeństwa i czynnikiem wzmacniającym rodzinność<sup>96</sup>.

Trudno jest uchwycić empirycznie szczęście i satysfakcję związaną z rodzicielstwem. „Myślę, że szczęścia czerpanego z roli rodzica nie da się jakoś ujednoczyć i ubrać w sztywne ramy” – mówi mi matka Alicja. Filip, ojciec, odpowiada z kolei, że „dopiero z czasem, jak dziecko rośnie, widzisz, jakie to było ważne”. Niewątpliwie posiadanie i wychowywanie dzieci stanowi jedno z fundamentalnych doświadczeń życiowych, budujących osobowość, kształtujących tożsamość, czyniących człowieka bardziej dojrzałym. Nie zawsze, nie zero-jedynkowo i nie w każdym jednym przypadku, ale powszechnie i systemowo rzecz biorąc tak można to ująć.

A co z popularnymi dzisiaj „zamiennikami” dzieci, czyli psami, kotami, chomikami, fretkami, świnkami morskimi i innymi domowymi pupilami? Coraz powszechniejsze staje się traktowanie ich jak prawdziwej rodziny, a nawet pełnoprawnych członków

społeczeństwa. Z dziecięcej perspektywy jest to na pewno kuszące, ale faktem jest, że pies ani kot nie zaopiekuje się osobą starszą. Nie poda jej leków, nie nakarmi jej, nie posprząta, nie pogada do niej, nie wypierze. Ze zwierzęciem człowiek nie jest w stanie, siłą rzeczy, nawiązać głębokiej więzi ani tym bardziej rodzinnej, międzypokoleniowej relacji. Pomimo wszelkich popkulturowych wierzeń na temat posiadania zwierząt domowych, stosunki te zawsze będą płytsze i uboższe niż z ludźmi. Czasem przez to łatwiejsze, nigdy bogatsze. Z psem nie porozmawiasz, nie przeżyjesz obustronnie świadomie ciężkich chwil ani tych radosnych. Wiele emocji i intencji, jakie przypisujemy zwierzętom, to tylko skutek antropomorfizowania ich. Klasyczne błędy poznawcze.

W kontekście społecznym natomiast niezwykle istotne jest to, że zwierzęta nie zostaną sprzedawcami, kurierami, lekarzami, pielęgniarkami, dostawcami, opiekunami socjalnymi, agentami ubezpieczeniowymi, policjantami, dziennikarzami, pisarzami, naukowcami, dozorcami, magazynierami, kierowcami. Nie naprawią zepsutych urządzeń, uszkodzonych budynków. Nie zapłacą podatków. Nie uzupełnią luk strukturalnych w społeczeństwie. Nie okażą solidarności czy altruizmu w naszym ludzkim rozumieniu. W przeciwieństwie do nowych ludzi, nie są też źródłem talentów, idei, sztuki, aktywizmu prospołecznego czy środowiskowego ani naukowości. Zgubne jest, zarówno na poziomie indywidualnym, rodzinnym i ogólnospołecznym, traktowanie zwierząt jako substytutów dzieci, członków rodzin, nowych osób w społeczeństwie. Ze wszystkich negatywnych skutków kryzysu demograficznego – dotyczących społeczeństwa, struktur, organizacji, ekonomii, polityki, dyplomacji, praw człowieka – żaden nie może być zniwelowany ani nawet złagodzony przez posiadanie zwierząt. W przeciwieństwie do sprowadzenia na świat dzieci.

\*\*\*

## Rozwój demograficzny

Na obecną europejską zmianę demograficzną, która z perspektywy społecznej, strukturalnej, ekonomicznej, socjalnej, zdrowotnej czy międzynarodowej jest bardzo niekorzystną sytuacją kryzysową, można spojrzeć z dystansu i opowiedzieć o niej tak, jak opisałby ją historyk.

Pod koniec XIX wieku warunki życia zaczęły się w Europie masowo poprawiać. Nie wszędzie i nie bez przerwy – a w czasach wojen następował regres – ale jednak wzrastał dostęp do czystej wody. Okresy głodu były rzadsze, krótsze i na mniejszą skalę. To natomiast wpływało na poprawę zdrowia, odporność na choroby. Środki

czystości upowszechniły się, a to także osłabiło moc infekcji dziesiątkujących wcześniej ludzkość. Podobnie, jak szczepienia – po II Wojnie Światowej były już dostępne na odrę, błonicę, krztusiec, tężec, polio i inne choroby. Szczepionkowe portfolio ludzkości od XVIII wieku wciąż się rozrastało i tak jest do dzisiaj. Mniejsza podatność na choroby dawała nie tylko odporność indywidualną osobom zaszczepionym, lecz również zbiorowiskową – patogeny miały ograniczone środki transmisji i okazje do ewolucji.

Poprawa kanalizacji i warunków sanitarnych dotyczyła nie tylko domostw i mieszkań w kamienicach, lecz również miejsc publicznych. Dzięki zrozumieniu związku przyczynowo-skutkowego między komarami a malarią, pozbywano się siedlisk, w których insekty te mogły się mnożyć. Wyparcie z Europy zarodźców wywołujących malarię miało ogromne znaczenie. Poza tym rozrastała się sieć szpitali i dostępnych w nich miejsc. Zwiększała się liczba przydatnych badań diagnostycznych: biochemicznych z krwi, obrazowania rentgenowskiego, kryteriów diagnostycznych i innych. Podręczniki do chirurgii puchły, bo rozwijała się i ta dziedzina medycyny. Odkrywano nowe leki przeciwko chorobom zakaźnym, zapalnym, zwyrodnieniowym.

Do historycznych zmian trzeba doliczyć masową, oficjalną edukację. Przekazywanie wiedzy nowym pokoleniom przez starsze nabrało systemowego wymiaru. Coraz więcej podstawowych informacji o życiu, od których mogła zależeć jego jakość i długość, przestawało być towarem luksusowym. Nadal istniały spore nierówności między różnymi klasami społecznymi – i z problemem tym nie uporano się do dzisiaj – ale jednak dostępność zasadniczej wiedzy rosła.

Niedocenianym w dobie spolaryzowanej polityki i debaty publicznej, a bardzo ważnym, jest czynnik instytucji publicznych. Podobnie, jak do zachowania zdrowia nie wystarczą silne mięśnie, zdrowe naczynia, dobry wzrok i inne zmysły, sprawne trawienie czy działająca odporność, lecz potrzebne są także zawiadujące wszystkim układy nerwowy i hormonalny – tak rozwojowi społecznemu muszą towarzyszyć organizujące, zarządzające, planujące, przewidujące skutki i korygujące działania silne instytucje publiczne. Utrzymywanie skoordynowanych i zintegrowanych działań dotyczących rozwoju mieszkalnictwa, dróg i kolei, opieki zdrowotnej, systemu ubezpieczeń, mediów i obiegu informacji oraz wielu innych – a w efekcie poprawy bytu milionów Europejczyków – było możliwe dzięki silnym urzędom i agencjom, przejmującym kolejne porcje władzy z rąk królów, oligarchów czy nienadzorowanych demokratycznie właścicieli wielkich firm i korporacji. Podobnie, jak w pozostałych aspektach, nie obyło się bez robienia kroków wstecz z powodów: wojen, przewrotów politycznych, zdobywania popularności przez szkodliwe ideologie, katastrof naturalnych. Ale trend się utrzymywał.

Ze względu na wszystkie te powody przeżywalność dzieci rosła. Coraz radsze, zwłaszcza po II Wojnie Światowej, było umieranie przed osiągnięciem piątego roku życia. Częstsze było za to dożywanie starości. Rodzice skupiali się więc na mniejszej liczbie dzieci, wiedząc, że szansa, że nie umrą przed nimi, jest bardzo duża i rośnie. Systemy opieki socjalnej, z emerytalnym i zdrowotnym na czele, a także większa

dostępność jedzenia, unieważniły też czynnik opiekuńczy – potrzeby posiadania większej liczby dzieci do opieki i pracy. Edukacja i dostępność środków antykoncepcyjnych – w tym tabletek hormonalnych – były następnymi krokami milowymi, które oddolnie zmniejszały rozrodczość. Jej spadek do współczynnika dzietności wynoszącego średnio 2-3 dzieci (z kilku-kilkunastu) na kobietę z powodów cywilizacyjnych można było uznać za sukces. Rodzenie więcej, niż 2-4 dzieci w wielu regionach, dekada za dekadą, traciło korzyści, jakie wcześniej niosło, a jak wiadomo, brak presji ze strony środowiska sprawia, że ludzie zmieniają swoje zachowania, nawyki i wzorce, nawet jeśli w innych okolicznościach lub z uwagi na inne aspekty życia indywidualnego, rodzinnego czy społecznego, byłyby korzystne.

Jednak dalszy, długo utrzymujący się regres, poniżej progu zastępowalności pokoleń i poniżej oczekiwań wynikających czy to z ludzkiej natury czy systemów społecznych, politycznych i gospodarczych, niósł zdecydowanie więcej wad niż korzyści. Zaczął zagrażać wydolności systemu ochrony zdrowia, systemu ubezpieczeń społecznych, strukturze relacji społecznych, prawom człowieka – ze szczególnym uwzględnieniem praw kobiet – czy rozwojowi intelektualnemu cywilizacji państw dotkniętych tym problemem. Wzmagająca go rosnąca kultura indywidualizmu i neoliberalizmu w odniesieniu o życia zawodowego i rodzinnego, destabilizacja instytucji rodziny i małżeństwa, praw pracowniczych, systemu opieki instytucjonalnej z jednej strony i ograniczenie sąsiedzkości i zaufania między ludźmi z drugiej.

Kolejne rysy – czy to w postaci rozregulowywania następnych sektorów rynku, osłabiania pozycji negocjacyjnej pracowników i pracowniczek, kryzysy polityczne i finansowe, toksyczny wpływ dezinformacji i polaryzacji społeczeństwa, upowszechnianych dzięki mediom społecznościowym na niespotykaną wcześniej skalę, skrajne utowarowienie mieszkalnictwa – musiały w końcu doprowadzić do katastrofy demograficznej. Sytuacji, w której od kilku dekad dzietność w UE oscyluje w okolicach zaledwie średnio 1,5 dziecka na kobietę. Nie jest to tymczasowa, roczna czy dwuletnia anomalia, lecz utrzymujący się od kilkudziesięciu lat regres demograficzno-społeczny, zagrażający Unii Europejskiej i jej członkom wewnątrz i na arenie międzynarodowej.

## Fazy rozwoju demograficznego

„Najważniejszym punktem w historii demograficznej, kiedy mówimy o czymś, że było przed i po, jest tzw. przejście demograficzne, datowane na z grubsza XIX wiek, ale też zależnie od regionu” – mówi mi Piotr Miodunka, demograf historyczny z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Ale co było wcześniej? Od naukowca dowiaduję się o fazach rozwoju demograficznego. „Pierwsza faza występuje, kiedy stopień urodzeń jest wysoki, ale też bliski poziomowi zgonów. Przyrost naturalny, skumulowany przez kilka lat, epidemia czy klęska głodu i niedożywienia potrafi wówczas w kilka miesięcy zredukować. Zmniejszając liczbę przeżywających noworodków nawet o od kilkunastu do około 30%. Klęski głodu nie tylko zwiększały śmiertelność, ale też zmniejszały

dziatność” – wyjaśnia. Mowa tutaj o sytuacji sprzed XIX wieku, która, pomijając niektóre regiony w pewnych okresach historycznych, ciągnęła się wiekami.

„Dzięki parafialnym księgom narodzin jesteśmy w stanie wyszukać, kiedy była klęska głodu, bo rodziło się wtedy mniej dzieci. Księgi zgonów były natomiast prowadzone chaotycznie i mniej dokładnie. Warto podkreślić jest też, że o ile w okresie głodu ludzie rezygnują zwykle z rozmnażania, to w czasie epidemii już nie ma tak wyraźnego spadku prokreacyjnego”. W przeszłości bardzo wiele aspektów życia sprowadzało się do zarazy. Klęski głodu zresztą, poza przyczynami pogodowymi, klimatycznymi i rzeźby terenu, również miały swe źródło w epidemiach dotyczących roślin uprawnych czy zwierzęta hodowlane. Luksus względnego spokoju ze strony sił natury Europejczycy mają dopiero od kilku dekad.

„Potem mamy drugi etap rozwoju demograficznego, kiedy liczba urodzeń jest wyraźnie bardzo wysoka, ale w wyniku poprawy sanitarności, rozpowszechnienia bawełny i ubrań pozwalających utrzymać higienę, dostępności mydła, lepszego odżywienia, np. przez wprowadzenie ziemniaka do uprawy i innych ważnych roślin, poprawę hodowli, spadał odsetek zgonów. To powodowało gwałtowny przyrost demograficzny, bo coraz rzadsze były kryzysy głodu i epidemie” – kontynuuje Piotr Miodunka. Wiele z wymienionych przez naukowca wynalazków wprowadzono bądź upowszechniono – także dzięki mechanizacji przemysłowej – właśnie w okolicach wieku XVI, XVII, XVIII i XIX.

„W trzeciej fazie, w wyniku tego przyrostu, pojawia się presja demograficzna. Ponieważ nie trzeba rodzić już 12 dzieci, by kilka przeżyło, zaczyna się polityka ograniczania dzietności poprzez proste środki. Takie, jak stosunek przerywany, zmniejszający ryzyko poczęcia. Poza tym spadek liczby narodzin występował też wśród migrantów. Ogółem więc w trzeciej fazie rozwoju demograficznego, za spadkiem śmiertelności, także dzięki rozwojowi sieci szpitali, spadała też dzietność”. Zmiana ta zaczęła być wszechobecna w społeczeństwach europejskich w tymże właśnie prętomowym pod względem demograficznym wieku XIX.

Tymczasem Piotr Miodunka dochodzi do czwartej fazy. „Dopiero w XX-wiecznej fazie czwartej obserwujemy bardzo radykalny spadek obu wskaźników: narodzin i zgonów. W niektórych społeczeństwach, na przykład państwach, które uzyskały pełną niepodległość po rozpadzie ZSRR, ale obecnie także w Europie Zachodniej, stopa urodzeń spadła poniżej stopy zgonów i jest mniejsza niż próg zastępowalności pokoleń. Obserwujemy to teraz również w Polsce. Jest to zjawisko nowe, nierozpoznane wcześniej na tak dużą skalę. Piąty etap oznacza więc ubytek liczby ludności. Ale tym razem nie z powodu zarazy i głodu”.

I tak trafiamy do obecnej sytuacji, która w oderwaniu od realiów, sama w sobie, niekoniecznie byłaby czymś złym. Jednak w obliczu braków ludzi do wykonywania określonych ról i zawodów podstawowych, których nie da się zautomatyzować albo których automatyzacja niesłaby zbyt wysokie koszty i negatywne skutki społeczne, środowiskowe bądź ekonomiczne; przy strukturalnej zapaści, zwłaszcza w średnich i małych miastach oraz wsiach; przy zaburzeniach proporcji wiekowych w populacji; przy

społecznych i psychologicznych efektach mniejszej liczby dzieci w społeczeństwie; przy znacznie wzmacnianej przez kryzys demograficzny niewydolności systemów socjalnych (zdrowotnych, emerytalnych) i usługowych; przy malejącej roli UE na świecie, wynikającej również ze spadku liczby ludności; przy globalnym kryzysie demokracji; wreszcie przy indywidualnych kosztach braków dzieci – nie można pozostać obojętnym.

Machnięcie ręką, bo „mnie to nie dotyczy”, „zobaczymy za 20 lat”, „są inne sprawy do zrobienia” sprawi, że problem się pogłębi. To tego rodzaju sytuacja, kiedy brak przeciwdziałania negatywnym trendom działa na niekorzyść, szczególnie coraz to młodszych roczników, coraz nowszych pokoleń.

## Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję moim Patronom z serwisu Patronite, bo to dzięki ich wsparciu mogłem przez kilka miesięcy pracować nad niniejszym reportażem, czytać artykuły i książki, robić wywiady, zbierać dane, a w końcu go napisać i opublikować, robiąc to niezależnie i bez reklam.

Dziękuję też moim rozmówcom – naukowcom i ekspertom, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać, udzielić komentarzy lub wywiadu – oraz osobom, które przekazały mi swoje cenne uwagi do reportażu przed jego publikacją, jak również tym, którzy pomogli mi przy artykułach w języku hiszpańskim, włoskim, francuskim, niemieckim, bułgarskim czy szwedzkim, które zacytowałem. Są to: Marcel Kiełtyka, Maksym Sijer, Bartosz Zadura, Agnieszka Bryc, Marta Kowal, Marta Kochan-Wójcik, Barbara Janta, Dorota Szczygieł, Matilda Sorkkila, Marcin Napiórkowski, Alicja Kost, Filip, Marta Trzeciak, Piotr Miodunka, Michał Misiak, Tomasz Maciejowski, Alberto Regagliolo, Radosław Ditrach, Natalia Osica, Katarzyna Laba, Megumi Kobayashi. Ponadto podziękowania dla Beaty Anny Polak, której wykłady na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu skłoniły mnie do zajęcia się tym zagadnieniem, a wobec którego wcześniej sam podzielałem niektóre z mitów i półprawd, w niniejszym reportażu wyjaśnionych.



# Literatura

- <sup>1</sup> „Europe's population implosion". The Economist (2003).
- <sup>2</sup> Charo Nogueira. „El segundo país con menos jóvenes y el quinto con más mayores de la UE". El País (2004).
- <sup>3</sup> „As Europe ages - how can we tackle its demographic decline?". European Parliament (2008).
- <sup>4</sup> Tomáš Sobotka. „Europe is not heading for a population collapse". The Guardian (2010).
- <sup>5</sup> „NIK o polityce prorodzinnej". Najwyższa Izba Kontroli (2015).
- <sup>6</sup> Jorge Benítez. „Bomba demográfica: la amenaza silenciosa que acabará con España tal y como la conocemos". El Mundo (2018).
- <sup>7</sup> Dorothea Siems. „In der Demografie-Falle". Die Welt (2019).
- <sup>8</sup> Alexandre Mirlicourtois. „La catastrophe démographique européenne". La Tribune/Xerfi (2019).
- <sup>9</sup> Leszek Kostrzewski. „Polska wymiera. Katastrofalne prognozy demograficzne". Gazeta Wyborcza (2020).
- <sup>10</sup> <https://www.mediapool.bg/naselenieto-na-bulgaria-shte-namalee-s-edna-chetvart-v-sledvashtite-20-godini-news323089.html> (dostęp: 11.07.2021).
- <sup>11</sup> European Commission. „European Commission Report on the Impact of Demographic Change" (2020).
- <sup>12</sup> E. Stein Emil Vollset et al. „Fertility, mortality, migration, and population scenarios for 195 countries and territories from 2017 to 2100: a forecasting analysis for the Global Burden of Disease Study". The Lancet (2020).
- <sup>13</sup> <https://www.ined.fr/en/glossary/reproduction-rate>; <https://stat.gov.pl/metainformacje/slownik-pojec/pojecia-stosowane-w-statystyce-publicznej/871.pojecie.html> (dostęp: 05.08.2021).
- <sup>14</sup> EU births: decline continues, but not from foreign-born women. Eurostat (2021).
- <sup>15</sup> Fertility Statistics. Eurostat (2021).
- <sup>16</sup> Monika Kaczyńska. „W Poznaniu przybywa dzieci. Mieszkańki stolicy Wielkopolski idą pod prąd trendów i powiększają rodziny". Głos Wielkopolski (2021).
- <sup>17</sup> „Population. Size and structure and vital statistics in Poland by territorial division in 2020". Statistics Poland (2020).
- <sup>18</sup> „Ursula von der Leyen: Demographic Decline is an Opportunity". Berggruen Institute on Youtube (2013).
- <sup>19</sup> „1992 World Scientists' Warning to Humanity". Union of Concerned Scientists (1992).
- <sup>20</sup> „World scientists' warning to humanity: a second notice". BioScience (2017).
- <sup>21</sup> Thomas Malthus. „An essay on the principle of population, as it affects the future improvement of society" (1978).
- <sup>22</sup> Henry George. „Progress and Poverty: An Inquiry into the Cause of Industrial Depressions and of Increase of Want with Increase of Wealth: The Remedy" (1879).
- <sup>23</sup> Pete Smith. „Malthus is still wrong: we can feed a world of 9–10 billion, but only by reducing food demand". Cambridge University Press (2014).
- <sup>24</sup> Jay Martin Anderson. „Ecology and Environment". American Scientist (2012).
- <sup>25</sup> „Noblista pozbawiony zaszczytu za faszystowską przeszłość". TVN (2015).
- <sup>26</sup> Jerry Bowyer. „Malthus and Scrooge: How Charles Dickens Put Holly Branch Through The Heart Of The Worst Economics Ever". Forbes (2012).
- <sup>27</sup> Hans Rosling. „Factfulness: Ten Reasons We're Wrong About the World – and Why Things Are Better Than You Think" (2018).
- <sup>28</sup> „2019 Revision of World Population Prospects". United Nations (2019).
- <sup>29</sup> <https://www.humanprogress.org/the-simon-abundance-index-2021> (dostęp: 17.07.2021).
- <sup>30</sup> Damian Carrington. „Want to fight climate change? Have fewer children". The Guardian (2017).
- <sup>31</sup> Slavoj Žižek. „Kłopoty w raju". Wydawnictwo Czarna Owca (2021).
- <sup>32</sup> George Monbiot. „Stop blaming the poor. It's the wally yachters who are burning the planet". The Guardian (2009).
- <sup>33</sup> „How to tackle population decline in Europe's regions?". European Parliament (2021).
- <sup>34</sup> Morgan R. Frank, David Autor et al. „Toward understanding the impact of artificial intelligence on labor". PNAS (2019).
- <sup>35</sup> Arnau Busquets Guàrdia. „Europe on the wane". Politico Europe (2019).
- <sup>36</sup> European Commission. „The impact of demographic change in Europe" (2020).
- <sup>37</sup> Nadav Eyal. „Rewolta". Wydawnictwo W.A.B. (2021).
- <sup>38</sup> Wiesław Myśliwski. „Traktat o łuskaniu fasoli". Znak (2018).
- <sup>39</sup> Lukas J. Wolf et al. „The salience of children increases adult prosocial values". Social Psychological and Personality Science (2021).
- <sup>40</sup> Gretchen Livingston. „Birth rates lag in Europe and the U.S., but the desire for kids does not". Pew Research Center (2014).
- <sup>41</sup> Eva Beaujouan, Caroline Berghammer. „The gap between lifetime fertility intentions and completed fertility in Europe and the United States: A cohort approach". Population Research and Policy Review (2019).
- <sup>42</sup> „Preferowane i realizowane modele życia rodzinnego". CBOS (2019).
- <sup>43</sup> „Ideal and actual number of children". OECD (2016); Miki Haruta. „Fertility, Gap Between Ideal and Reality: Cross-Sectional Analysis of Fertility Decline in 17 High-Income Countries". Oslo Metropolitan University (2020).
- <sup>44</sup> Richard Carter et al. „Evolutionary and Historical Aspects of the Burden of Malaria". Clinical Microbiology Reviews (2002).
- <sup>45</sup> „The decline of infant mortality in Europe". UNICEF (1993).
- <sup>46</sup> Max Roser et al. „Child and Infant Mortality". Our World in Data (2019).
- <sup>47</sup> Przemysław Wilczyński. „Demografia bez boomu". Tygodnik Powszechny (2021).
- <sup>48</sup> Magdalena Uchaniuk. „Mamy za sobą 30. lat zimy demograficznej. Dzisiejszy stan demograficzny to pokłosie transformacji i braku działań". Radio Wnet (2020).
- <sup>49</sup> Barbara Janta. „Childbearing of Polish migrants in the UK". BSPS Conference (2014).
- <sup>50</sup> Marek Szymaniak. „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast". Wydawnictwo Czarne (2021).
- <sup>51</sup> Bruno Arpino et al. „The Fertility Gap in Europe: Singularities of the Spanish Case". Fundación La Caixa (2013).
- <sup>52</sup> Gilles Pison. „Why do people have more children in the north of Europe than in the south?". The Conversation (2021).
- <sup>53</sup> Hieronim Bartel. „Embriologia". PZWL (2017).
- <sup>54</sup> Shanna H. Swan et al. „Temporal trends in sperm count: a systematic review and meta-regression analysis". Human Reproduction Update (2017).
- <sup>55</sup> Marion Boulicault. „The future of sperm: a biovariability framework for understanding global sperm count trends". Human Fertility (2021).
- <sup>56</sup> Irena E. Kotowska. „Niska dzietność w Polsce w kontekście percepcji Polaków. Diagnoza Społeczna 2013". Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej (2014).
- <sup>57</sup> „Women in the EU are having their first child later". Eurobarometr (2021).

- 
- <sup>58</sup> Warto zwrócić uwagę na fakt, że zbyt restrykcyjne prawo aborcyjne także może pogłębiać te obawy i odrzucać od decyzji o kolejnych dzieciach. Opinię taką wyraził Komitet Nauk Demograficznych Polskiej Akademii Nauk w oświadczeniu ws. orzeczenia polskiego Trybunału Konstytucyjnego z 22.10.2020 r.
- <sup>59</sup> Shoshana Zuboff. „Wiek kapitalizmu inwigilacji”. Zysk i Sk-a (2020).
- <sup>60</sup> „Share of young adults aged 18–34 living with their parents by age and sex - EU-SILC survey”. Eurostat (2021); <http://appsso.eurostat.ec.europa.eu/nui/submitViewTableAction.do> (dostęp 10.08.2021).
- <sup>61</sup> Jagoda Haloszka. „Singiel w teorii niejasnej straty”. Życie Uniwersyteckie (2020).
- <sup>62</sup> Matthias Doepke, Fabian Kindermann. „Why European women are saying no to having (more) babies”. VoxEU (2016).
- <sup>63</sup> Maria R. Testa et al. „The decision of whether to have a child: Does couple disagreement matter?”. Vienna Institute of Demography Working Papers (2012); Ann Zofie Duvander et al. „Who makes the decision to have children? Couples' childbearing intentions and actual childbearing”. Advances in Life Course Research (2020).
- <sup>64</sup> Monika Czerwonka. „Charakterystyka wskaźników modelu kulturowego Hofstede”. SGGW.
- <sup>65</sup> Isabelle Roskam et al. „Parental Burnout Around the Globe: a 42-Country Study”. Affective Science (2021).
- <sup>66</sup> Peter Grey. „Why Is Narcissism Increasing Among Young Americans?”. Psychology Today (2014).
- <sup>67</sup> Po raz pierwszy o graffiti tym usłyszałem w radiu Tok FM w audycji „Świat się chwieje: Antyszczepionkowcy i foliarstwo – dlaczego łączymy te zjawiska z poparciem dla PiS a nie z dostępem do służby zdrowia?”; mówi o nim prof. Małgorzata Jacyno.
- <sup>68</sup> Piotr Witwicki, Marcin Fijolek. „Jarosław Kaczyński, prezes PiS: Morawiecki ma spore szanse pobić rekord Tuska”. Interia (2021).
- <sup>69</sup> Katarzyna Tubylewicz. „Moralisci”. Wielka Litera (2017).
- <sup>70</sup> „German spy agency says ISIS sending fighters disguised as refugees”. Reuters (2016).
- <sup>71</sup> „Rosyjska dezinformacja na temat Syrii w Polsce”. INFO OPS Polska (2018); „Propaganda i dezinformacja rosyjskich i prorosyjskich ośrodków medialnych w polskiej przestrzeni informacyjnej 2017/2018”. INFO OPS Polska (2019).
- <sup>72</sup> W odniesieniu do amerykańskiego podwórka analizę dot. antagonizowania społeczeństwa przez media stworzył w swojej książce Matt Taibbi: „Nienawiść sp. z o. o. Jak dzisiejsze media każą nam gardzić sobą nawzajem”. Wydawnictwo Czarne (2020).
- <sup>73</sup> „Większość Polaków uważa, że pracodawcy żerują na Ukraińcach”. Wirtualne Media (2019).
- <sup>74</sup> Nelli Esipova et al. „World Grows Less Accepting of Migrants”. Gallup (2020).
- <sup>75</sup> Ulrich Kober et al. „The labor market will need more immigration from non-EU countries in the future”. Bartelsmann Stiftung (2015).
- <sup>76</sup> „Deutschland gehen die Arbeitskräfte aus“ – BA-Chef Scheele für 400.000 Migranten pro Jahr”. Handelsblatt (2021).
- <sup>77</sup> Katinka Barysch. „Why Europeans don't have babies”. Centre for European Reform (2007).
- <sup>78</sup> „Overall figures of immigrants in European society”. European Commission (2020).
- <sup>79</sup> Charles Kenny et al. „Can Africa Help Europe Avoid Its Looming Aging Crisis?”. Center for Global Development (2021).
- <sup>80</sup> Iwan Krastew, Stephen Holmes. „Światło, które zgąsło”. Wydawnictwo Krytyki Politycznej (2020).
- <sup>81</sup> Ivan Arpi. „Det är demografin, dumbom!”. Svenska Dagbladet (2019).
- <sup>82</sup> „Migrants stranded as Hungary bars them from rail station”. BBC (2015).
- <sup>83</sup> Karolina Tagaris. „Greece completes border wall extension to deter potential Afghan migrants”. Reuters (2021).
- <sup>84</sup> „Greece says cannot become gateway to EU for fleeing Afghans”. Reuters (2021).
- <sup>85</sup> Giorgio Leali. „Macron calls for European plan to manage Afghan migration”. Politico Europe (2021).
- <sup>86</sup> „New Swedish migration law makes permanent residency harder for refugees and visitors”. Euronews (2021).
- <sup>87</sup> Camille Gijs. „A migrant hunger strike is shaking Belgium's government”. Politico Europe (2021).
- <sup>88</sup> Aleksandra Krzysztosek. „Holandia przeciwko przyjmowaniu uchodźców w Europie. Chce pomagać na miejscu”. Euractiv (2021).
- <sup>89</sup> Jack Parrock. „Lukashenko is 'using human beings' in an 'extreme act of aggression towards the EU', says Johansson”. Euronews (2021).
- <sup>90</sup> Witold Repetowicz. „Repatriacja, drenaż zasobów, czystki etniczne”. Jak Europa nie poradzi sobie z kryzysem migracyjnym [OPINIA]. Defence24 (2017).
- <sup>91</sup> „Zrób to dla Danii” - biuro podróży reklamuje turystykę prokreacyjną”. Wirtualne media (2014).
- <sup>92</sup> Adriana Rozwadowska. „Jest wiele argumentów za wykowym. Już teraz w całej Europie bezdzietni płacą wyższe daniny”. Gazeta Wyborcza (2019).
- <sup>93</sup> „Niemcy: Wyższa składka dla singli, żeby zwiększyć płace w domach opieki”. Interia (2021).
- <sup>94</sup> Małgorzata Sikorska. „Czy zwiększenie dzietności w Polsce jest możliwe?”. Instytut Badań Strukturalnych (2021).
- <sup>95</sup> Orlando Crowcroft. „Hungary takes fertility clinics under state control in bid to boost falling birthrate”. Euronews (2019).
- <sup>96</sup> Alicja Kost. Mataja.pl
- <sup>97</sup> Marta Kowal et al. „When and how does the number of children affect marital satisfaction? An international survey”. PLoS ONE (2021).